

# PARADA

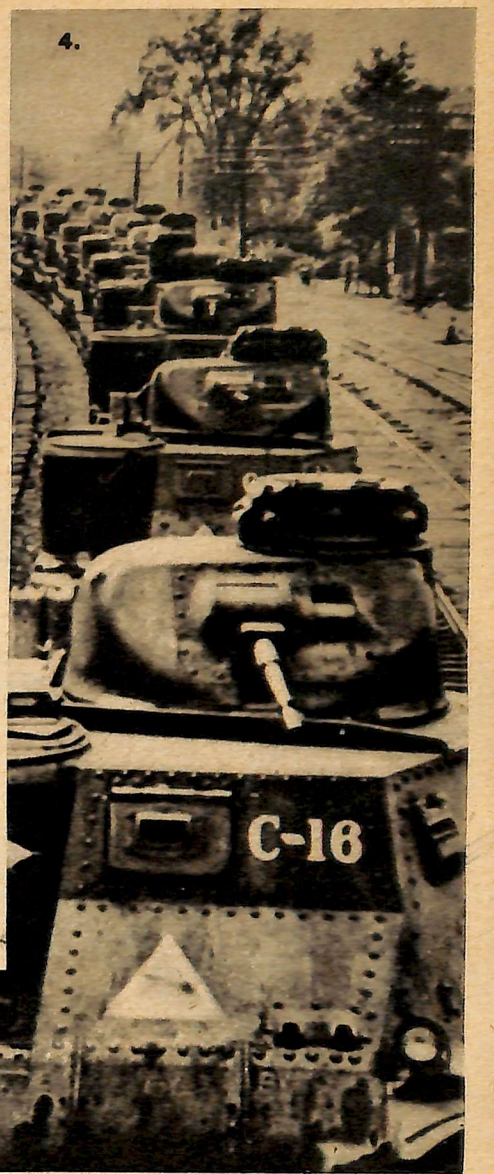
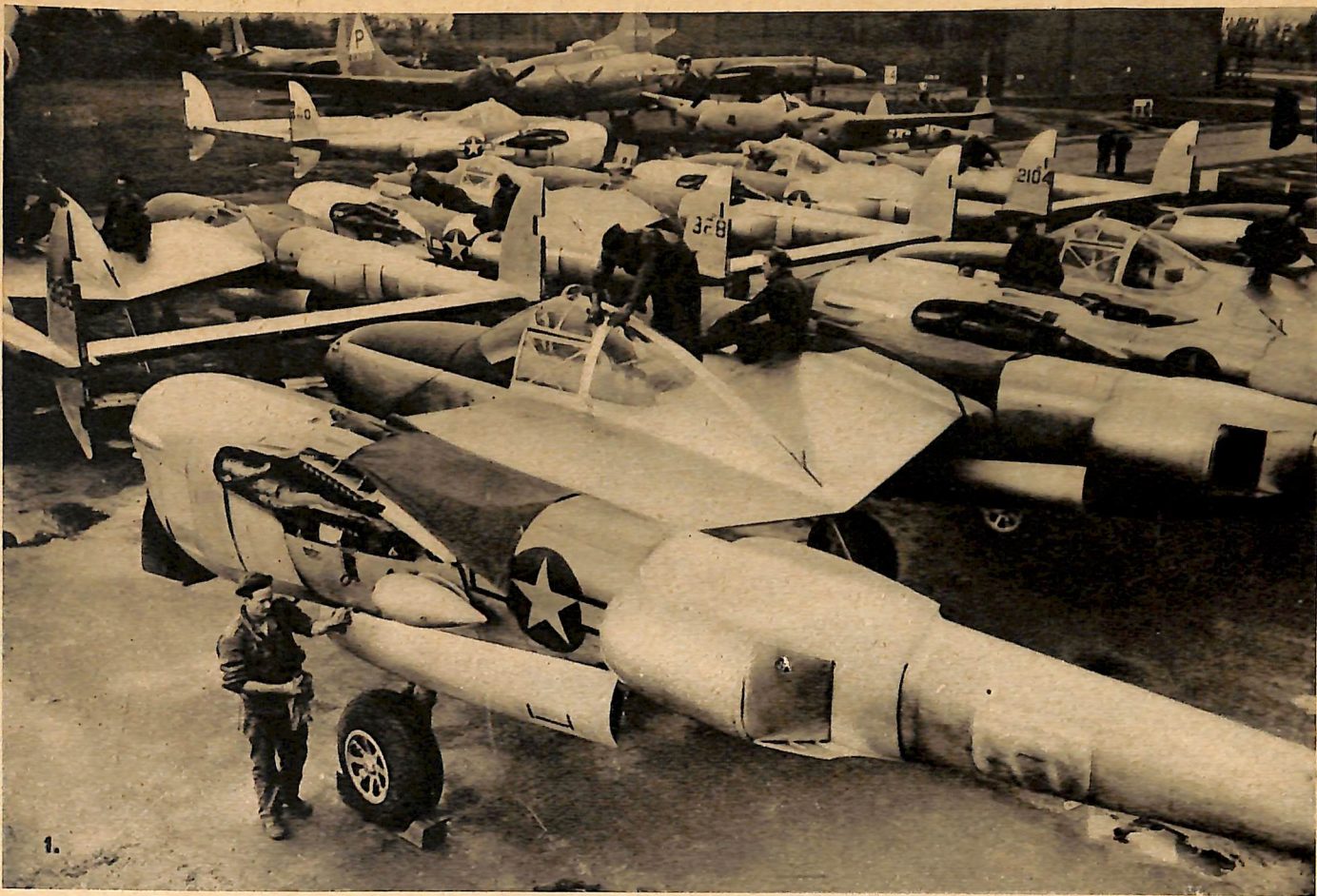


ROK II

NIEDZIELA, 28 MAJA 1944 R.  
SUNDAY, MAY 28, 1944

Nr 11 (30)

CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 rls., w Anglii 6 d., w Afryce Wsch. 6 d., we Włoszech 12 lirów

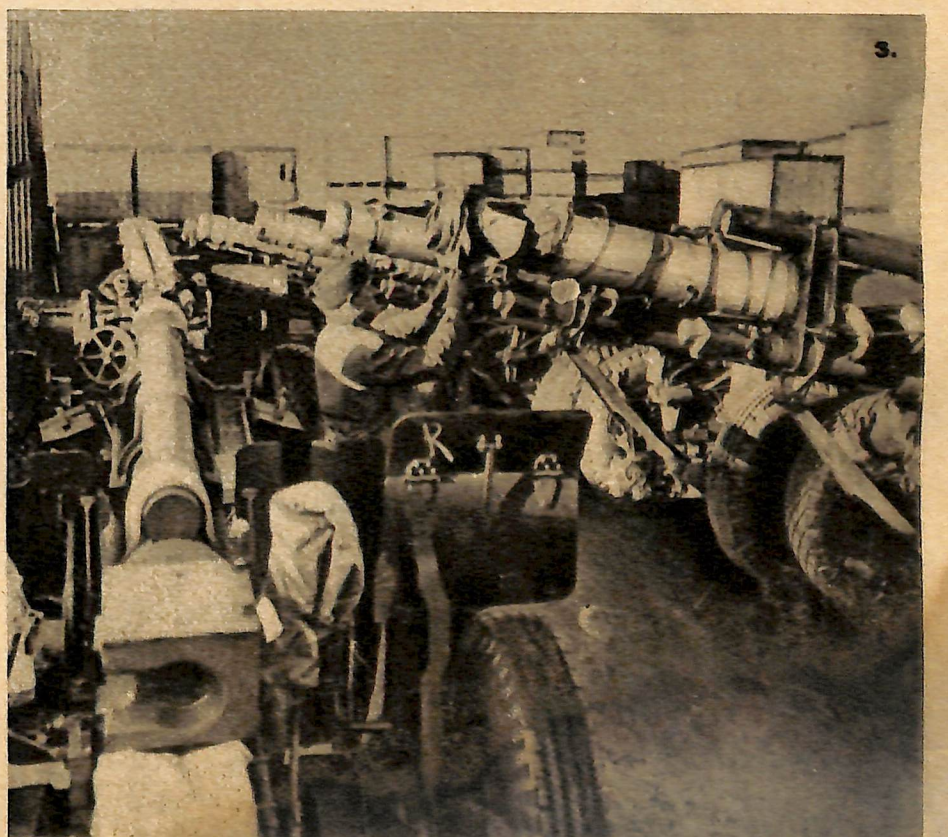
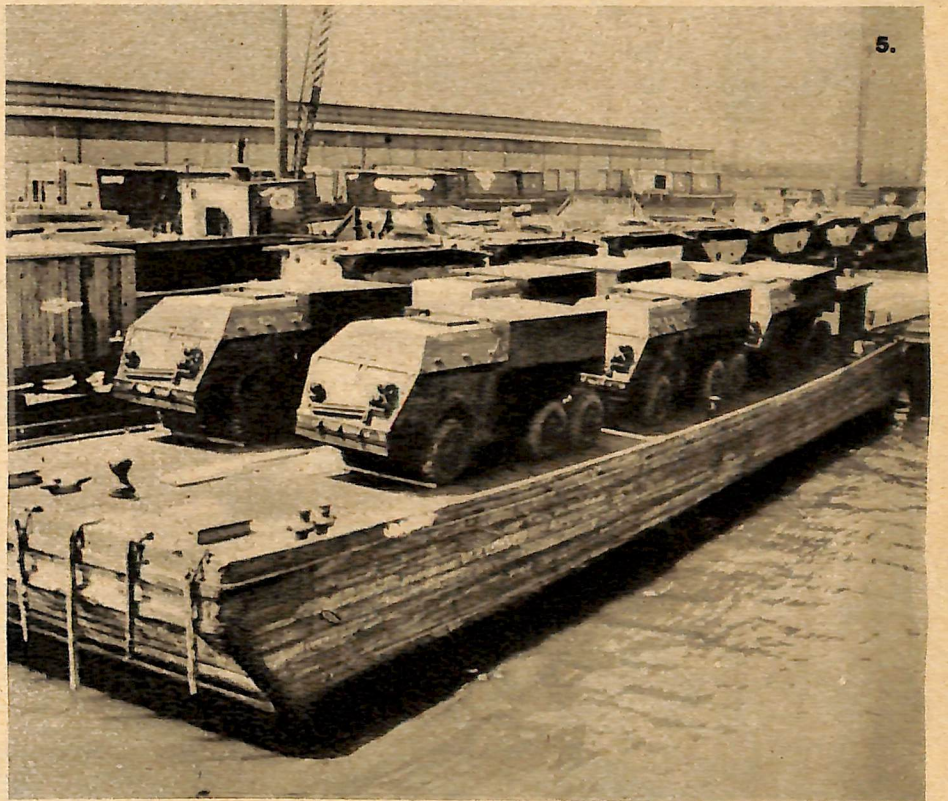


# W przeddzień inwazji

Generał Eisenhower dokonywając w tych dniach inspekcji armij inwazyjnych w Wielkiej Brytanii w jednym ze

swych krótkich, lapidarnych przemówień do żołnierzy powiedział: „Trzymajcie się ostro — bo ona (inwazja) nadchodzi”. Generał Eisenhower nie rzuca słów na wiatr. Wielka Brytania jest dziś bazą wyjściową bodaj największej planowej operacji w historii wojen. Te szczegóły o przygotowaniach inwazyjnych, które przedostały się do prasy świadczą, że wyspy brytyjskie są dziś najpotężniejszym magazynem sprzętu wojennego. Spółka wojskowa Eisenhower i Monty jest chyba najlepszą firmą, której można było powierzyć tak gigantyczne zadanie. Rozmach amerykański, angielski geniusz organizacyjny, nieograniczone zasoby dwóch największych potęg przemysłowych świata — złożą się na tę akcję, która przyniesie ostateczne zwycięstwo i wyzwolenie.

1. Samoloty amerykańskie na jednym z lotnisk w Anglii, skąd wystartują do inwazyjnego boju
2. Tysiące wagonów wiozą sprzęt wojenny i amunicję
3. Działa, które wkrótce zabiorą głos
4. Kolumna nowo wyprodukowanych czołgów
5. Amerykańskie czołgi-amfibie płyną do Wielkiej Brytanii



## Sztandar polski nad Cassino

Walką obronną, samotnie prowadzoną był Wrzesień Polski. Defensywą była wojna we Francji, były nią także, mniej lub więcej, wszystkie inne kampanie sojusznicze, aż do historycznego przełomu pod El Alamein. Rozpoczęta tam operacja, zakończona właściwie dopiero na ziemi włoskiej, stanowiła pierwszą na lądzie wielką i zwycięską ofensywę przeciwko Niemcom. W tym najgorszym okresie wojny żołnierz polski bił się wszędzie, nie zawiódł nikogo. Był sojusznikiem wiernym i ciągle bitym, kiedy inni broń już stracili. Ale nie było nas — organizowanych w nową, wielką jednostkę — w pochodzie bitewnym VIII Armii, nie braliśmy udziału w tej pierwszej serii zwycięstw, wielkich swymi następstwami. Zazdrościliśmy lotnikom naszym, którzy tak długo przed nami poznali smak zwycięskiej ofensywy, i czekaliśmy — na pustyni. Doczekaliśmy się ziemi europejskiej i upragnionego odwetu, na który najpilniej patrzy dziś Kraj.

Rozpoczęły się kampanie ostateczne i decydujące, a my bierzemy w nich udział. Jesteśmy częścią tej zbrojnej pięści, która w Apeninach zadaje Niemcom pierwszy cios w ramach planowanej inwazji. Nasza pierwsza ofensywa, wielka i zwycięska, w warunkach jakże innych, niż w poprzednim okresie! 17 maja lotnictwo sojusznicze na froncie włoskim dokonało 2500 startów, dostrzeżono tylko jeden niemiecki samolot. Niemcy są w defensywie. I już zaczynają płacić rachunki. Na kontynencie europejskim 2. Korpus Polski jest naszym pierwszym egzekutorem, rzetelnie gorliwym, na pewno najgorliwszym ze wszystkich wojsk sojuszniczych. Start polski w tej pierwszej ofensywie, pod własnym dowództwem i na własnym odcinku, wypadł w trudnych warunkach: na odcinku Cassino, który ma już swą sławę, ugruntowaną największą w historii bombardowania koncentracją i dzikim oporem niemieckim, w terenie, o którym korespondenci wojenni piszą zgodnie, że był najtrudniejszym na całym froncie, i wobec przeciwnika szczególnie wyborowego — „zielonych



Moździerz Karpackiej na stanowisku

diabłów” pierwszej dywizji spadochroniarzy. Wybór tak trudnego zadania świadczy o zaufaniu do Dowódcy Korpusu Polskiego, generała Andersa i jego żołnierzy. Ocena brytyjska żołnierza polskiego jest trafna, ocena wojskowa. Po zażartych walkach, współdziałając z wojskiem brytyjskim, oddziały polskie stanęły na nie zdobytych dotychczas wzgórzach Cassino. Ten odwet, to zwycięstwo ma swą cenę nieodzowną: krew i życie. Znamy ją dobrze i płacimy ofiarnie, wiedząc za co. Tak ofiarnie, że nieraz zapominają o tym inni, zwłaszcza nie-żołnierze.

W świat poszły telegramy o „lwach polskich” — „spragnionych krwi”, o naszej „wściekłej bitności”, zażartości i furii. Do nazw, związanych z tą wojną i z dzielnością żołnierza polskiego, doszło Cassino, kiedyś miasto, dziś kupa gruzów w górach włoskich. Do tych wyróżnień, jakie po zwycięstwie w Cassino wznowioną falą spotykają armię polską, dodajmy jeszcze oceny, jakie doszły nas bezpośrednio przed ofensywą obecną. Akcja patrolowa i zachowanie się na froncie, inicjatywa i inteligencja żołnierza polskiego uznane zostały przez sojuszników, jako odpowiadające bardzo wysokiej sprawności. To się liczy na froncie. Musi się liczyć również gdzie indziej.

Źródło wielkiej bitności naszego żołnierza nie jest tajemnicą. Każda ofensywa — to wzrost nadziei na

szybszy powrót do domu, o którym, w przeciwieństwie do brytyjskiego, czy amerykańskiego żołnierza — nawet wieści żadnej nie ma. Każdy mejr naprzód — to bliżej do Kraju. Za każdym Niemcem czai się krzywdą polska. Bijemy więc Niemców, bić nie przestajemy, z przemijających gorczy politycznych jeszcze większej zaciętości nabierając. Nasza droga, nasze cele są proste i jasne: w Kraju i we Francji, w Narwiku i Afryce, nad Anglią w jej najcięższych chwilach i dziś nad Rzeszą, w przeddzień zwycięstwa, i w marszu na Rzym, w inwazji. Przed nami jest Polska, jest nasz własny byt narodowy. Dążymy do niego i zabezpieczyć go chcemy przez żołnierski wysiłek. Żadnemu narodowi tak całkowicie i wyraźnie nie wydarto domu, jak nam; w żadnym kraju tak kłamu nie zadano prawdziwej wolności, jak w naszym; żadnego państwa tak nie dzielono, jak naszego; nigdzie też nie poderwano tak zaufania, jak u nas. Dlatego walczyliśmy z Niemcami wszędzie i nieustannie, wierząc, że ten wielki wkład wojenny będzie najlepszą obroną naszych praw. Ale również dlatego nie wystarcza nam cel wojskowy pokonania Niemców.

Europę porwać muszą na nogi i pod broń hasła polityczne, przede wszystkim zapewnienie, że wojna zakończona zostanie w imię tych zasad, o które ją podjęto w Polsce, w Anglii i we Francji.

Sprawa polska jest nie tylko — jak nazwał ją prezydent Roosevelt, natchnieniem świata, ale także kryterium tego, o co toczy się wojna. Wyraża to jednogłośnie uchwalona rezolucja Senatu oraz Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych, łącząc oświadczenia sympatii dla Polski z wezwaniem do wysiłku na rzecz zachowania jej zagrożonej terytorialnej całości i politycznej niezależności.

W rozkazie dziennym, odczytanym wojskom sojuszniczym, które biorą udział w ofensywie na froncie włoskim, głównodowodzący generał Alexander powiedział m. i., że planowane kampanie druzgocąc hitleryzm sprowadzą Europie — wolność. I dodał jeszcze: „Żadna armia nie weszła do walki o sprawę bardziej sprawiedliwą i słuszną”. Rozkaz ten jest szczególnie bliski żołnierzom polskim. Wolność, stawiana przed oczy wojskom sojuszniczym, związanym z nami braterstwem broni, łączy się ściśle z polską sprawą, najbardziej sprawiedliwą i słuszną jeszcze w dniu 1. września 1939 roku. Wolność w tym wielkim ujęciu, o które przecież zaczęła się wojna, ma i musi mieć tę samą treść nad Wisłą, co nad Tamizą. Całość i niepodległość państwa wolnego narodu.

Żołnierz polski w Cassino bił się o taką wolność, o całość wszystkich naszych ziem. Daje za nią życie, aby inni żyć mogli. Nad zdobytym przez naszych żołnierzy klasztorem powiał sztandar polski. „Klasztor należy do Polaków” — powiedział generał Leese do generała Andersa, gratulując wspaniałych wyczynów oddziałów polskich.

Ten nasz klasztor, z którego wyrzuciliśmy Niemców, nie jest już — jak dawniej, w czarnych dniach wojny — czymś tylko symbolicznym. Jest przepaść między Narwikiem, w którym również powiał nasz sztandar, a Cassino, które leży wyraźnie na realnej drodze do Kraju, rzeczywiście rozpoczętej na ziemi włoskiej.

TADEUSZ PNIEWSKI

Generał Sir Harold Alexander, Dowódca Armii Sprzymierzonych we Włoszech



NASZA OKŁADKA



Dowódca 2. Korpusu, Generał Dyw. W. Anders, pod którego dowództwem żołnierz polski podjął bój na kontynencie Europy  
British Official Photographer

# BATALION WILKÓW NA FRONCIE



Między wzgórzami Cassino a Cairo, gdzie polskie oddziały krwawym atakiem wyparły Niemców

Szkoda było wyjeżdżać z C. Żołnierze z baonu „Wilków” przyzwyczaili się do biednej, górskiej miejsciny. Polubili jej mieszkańców i nawzajem Włosi ich polubili.

W C. było kwaśne, cierpkie wino, była czosnkowana, pieprzna kielbasa. Czasami, na specjalne zamówienie, można było dostać duszoną „gallo” — kurę i dobrą jajecznicę. Przyjemnie było siedzieć przed wielkim, włoskim kominem i słuchać opowiadania signorin, jak to okrutni Niemcy wszystko „rubare e mangare”, (rabowali i pożerali). W kominie trzeszczy ogień. Na suficie wiszą szynki, słoniny, kielbasy. W kąciku płonie kaganek. Na kolanach żołnierza siedzi dziecko... Dobrze było tu „wilkom”.

Nagły rozkaz! Rano ruszyły kolumny. Na front. Mieszkańcy C. machali rękoma. Niektóre kobiety płakały...

Samochody pojechały do punktu przedankowego. Tu bagaż poszedł na muły. Gdy zciemniało, ruszono w góry. Do stanowisk prowadzi wąska, kręta, wydeptana przez muły, karkołomna ścieżka, a stanowiska są daleko i wysoko. Marsz jest ciężki. Pasy plecaka wżerają się w ramiona. Czasami ze zmęczenia trudno złapać oddech. Przeklęte góry! Niektóre kompanie ostrzelane są przez Niemców, lecz to nie przerywa marszu. Gdzieś koło północy rozpoczyna się luzowanie. Wszystko idzie sprawnie. Plutony maszerują na swoje odcinki. Placówki zostają obsadzone. Podsluchy i wartownicy już czuwają. Dowódcy podchodzą do żołnierzy — wyciągają rękę — i mówią, „tu są Niemcy!”. Niedaleko widać góry. Wysokie, białe. Na Monte Croce leży śnieg.

Ziemia drży od huków artyleryjskich. Jest dość widna noc. Pierwsza noc frontowa dla batalionu „Wilków”.

Na drugi dzień spadł gęsty śnieg. Wróciła zima.

## PLACÓWKA

Przed naszymi pozycjami stoi wzgórze. Na noc wychodzi tam placówka. Na wprost i w prawo wzgórze są Niemcy. Jest mgła. Gęsta jak śmietana, ciemna jak sadze. Nie widać nic! Nic też — prócz jęczącego wiatru i huku artylerii — nie słychać. Przykra noc. Wolno wloką się godziny...

Leży człowiek w leju i myśli, że musi powstać określenie — „zły, jak ciemna, wojenna noc”.

— Ktoś jest przy drutach — cicho szepcze strzelec.

Słuchasz. To wiatr porusza koncertiną. Ale machinalnie sięgasz po granat. Prawą ręką mocno go obejmujesz. Wskazujący palec lewej leży w zawleczce. Na kolanach Thomson...

— Szszszsz — płyną gdzieś wysoko pociski. To nasza artyleria! Robi się weselej, raźniej. Poprzez mgłę widać skaczące na niemieckich wzgórzach świecące się punkty. To nasze pociski. Wstrzelują się. Już nie jest tak strasznie.

Gdzieś — zdaje się bardzo blisko (echo wszystko przybliża) — jest jakaś haratanina. Można rozróżnić nasze lkm'y i pistolety, i niemieckie, głucho, ale szybko bijące, Spandau'y.

— Niemcy nacierają! Jeszcze nas otaczają...

— Leż cicho. To patrol. Strzelanina oddala się.

— Ktoś tam idzie...

Słuchasz. Człap... człap... Dźwięczą druty. A może to naprawdę Niemcy? Może żołnierz ma rację? Jest ciemno. Nerwy...

— Puść granat. Gwizd i huk... Cisza.

Niemcy puścili rakietę. Oświetlają nas. Rakietą ma kolor czerwony. Człowiek wwarł się w lej. Po chwili, pluszcze ostro. Gwizdże. Znaczą, że pocisk padnie blisko. Niemcy strzelają z moździerzy. Huk. Lecą odłamki i kamienie. Padają niedaleko nas. Teraz zaczynają nasze moździerze. Wałą odrazu seriami. Po cztery, po sześć sztuk. W powietrzu bezustannie coś szeleszcze, pluszcze, świszcz. Niemcy natychmiast przestają strzelać.

Koło trzeciej mgła znika. Jest cicho. Pokazuje się księżyc. Staną nad niemieckim, wysokim wzgórzem. Widoczność jest doskonała. Ze wzgórza schodzi pięciu Niemców. Dwóch czegoś szuka, pozostali stoją za nimi z tyłu, z gotowymi do strzału karabinami. Szukają swoich rannych, albo poległych.

Artyleria nasza i moździerze nieźle biją...

Po kilku minutach księżyc gdzieś się ukrył i nie widać już nic.

Gdzieś z daleka, z tyłu, to znaczą u nas zarżał muł. Rozumiemy się. On przynosi dobre rzeczy. Wodę, amunicję, żywność, papierosy.

Kochane, cierpliwe bydlę.

Z mniejszego wzgórza, gdzie jest placówka niemiecka, słychać jakieś stukanie. To Niemcy pracują. Naprawiają umocnienia, które wczoraj zniszczyła im nasza nawała artyleryjska.

Stukanie przypomina odgłos murzyńskich tam-tamów. W tej ciszy jest trochę niesamowite.

Ktoś w sąsiednim leju zakaszłał. Głośno, aż charcze.

— Psia..., nie mógł chustki w gębę włożyć?

Zimno szczypie w nogi. Kolana są sztywne. Chce się palić i spać; trzeba pójść sprawdzić pozostałych, gotowi zasnąć. Człogasz się. Pistolet został na stanowisku. W kieszeni granaty, w rękę granat. Żołnierze nie śpią, wszyscy czuwają.

— Która godzina?

— Jeszcze trzy godziny... Jakże te noce długie.

W wąwozie obok naszego wzgórza słychać kroki. Idzie kilka osób.

— Nasz patrol wraca!

Na niebie robi się szaro. To nie wschody słońca są piękne. To nie prawda! To wymysł lekkoduchów. Piękny jest przedświt. Czas, w którym żołnierz schodzi z placówki.

## PATROLE

Trzeba było zrobić przejście przez pole minowe. Poszło trzech. Pierwszy oficer, na plecach ma tommy-gun, w kieszeni granaty, w rękę metalowy drążek. Pole jest pod ostrzałem niemieckich moździerzy. Wróg ma doskonałą obserwację.

Godz. 5 po poł. idziemy. Czym bliżej nieprzyjaciela, tym ostrożniej.

Skończył się wąwóz. Jakżeś 500 m od nas, stanowiska Niemców, którzy siedzą na stoku góry. Przestrzeń od wąwozu do pola minowego przebiegamy pojedynczo. Porucznik przechodzi przez kolczaste druty i zaczyna wiercić swym drążkiem w ziemi. Parę metrów za nim idzie strzelec. Obcasem znaczą ślad. Jeszcze dalej idzie trzeci. Obserwuje. Pole jest duże. A zbadanie przejścia między minami trwa strasznie długo.

Wtem — zauważyli nas. Strzelają z moździerzy. Parszywa sytuacja. Nie ma gdzie paść. Albo rąbnie cię moździerzem, albo wylecisz na minie.

Niedaleko śladu, zrobionego przez strzelca rośnie drzewko. Właściwie krzew. Żadnej ochrony nie da, ale daje... złudzenie, więc bez namysłu walisz się pod nie. Nic nie wybuchło! Lecą pociski moździerzy, rozrywają się. Z takim samym brzęczeniem, jak osy, lecą odłamki, różnej wielkości — błyszczące. Ten padł trzy metry od ciebie, a ten o dwa. Gdyby trafił — mурowany szpital.



Dowódca VIII Armii, Generał Sir Oliver Leese, w rozmowie z Dowódcą 2. Korpusu, Generałem Władysławem Andersem



Patrol Karpatczyków



Schron w górach



Na punkcie obserwacyjnym

Leżymy długo. Już zimiercha. Szybko wytyczamy pole. Jesteśmy po jego drugiej stronie.

Przejście zrobione: znamy drogę do wroga!

Zbiórka w domku kompanii o trzeciej nad ranem. Wszyscy mają tommy-guny. Jest ładna noc. Dzięki gumowym butom posuwamy się po cichu. Zadanie: należy rozpoznać ścieżki, którymi chodzi nieprzyjaciel i wymierzyć pod jakimi kątami umieszczone są jego moździerze.

Przez pole minowe zakładamy taśmę. Wszystko idzie pomyślnie. Noc jest cicha. Czasami huknie działo. Gdzieś z daleka na niebie przelatują błyski, to nasza artyleria. Przeszliśmy pole. Przed nami wzgórze skaliste, strome. Wzgórze, które do nikogo nie należy. Posuwamy się ostrożnie. Tu można już spotkać Niemców. Zeschnięta trawa strasznie trzeszczy. Poruszone kamienie spadają z trzaskiem. Wtem ktoś strzelił ze zwykłego kb. Kto? Huk rozległ się po górach, jak strzał armatni. Wszyscy ukryli się za skałami. Czekamy.

— Choroba! To strzelił któryś z naszych, dziad nerwowy. A teraz rozbudził Niemców...

Po kilkunastu minutach znów pniemy się wyżej. Jesteśmy na szczycie. Niedaleko od niego znajdują się stanowiska Niemców. Tu przechodzą ich druty kolczaste. Patrzymy w busołą.

Trzeba wracać. Wtem rakiety, białe, gwiazdziste. To nic — „łapiemy” je na busołą. Przyda się w niedalekiej przyszłości.

#### DEZERTERZY

Już świtało, kiedy do drutów zbliża się dwóch ludzi. Idą śmiało, głośno. Za-

rysy hełmów inne, niż nasze. Niemcy. Rzeczywiście. Podchodzą pod druty i krzyczą: „Nicht schiessen!”

Pojedynczo przełazą. Rewizja. Przeprowadzają dezertarów bliżej. Trzęsą się! Urywaniem językiem mówią, że nie są Niemcami, są Austriakami. Nie chcą się bić! Mają dość Hitlera i dość wojny. Jeden zna kilka słów polskich, mówi, że jego matka była Polką.

Rozwidniło się. Dezertarzy patrzają na rękawy naszych battle-dress'ów.



Widok z Castel di Sangro

Na apenińskiej turni





— „Ochsen” — mówią i widać, że boją się naszych „żubrów”. Dowódcy powiedzieli im, że najgorsi ze wszystkich żołnierzy sojuszników są Polacy. Mordują wszystkich Niemców bez wyjątku. A między Polakami, to najgorsi ci z „ochsamami”. Nasi żołnierze śmieją się. To trochę uspokaja przerażonych Niemców. Odprowadzono ich do kompanii. Przed domkiem znów oblatuje ich strach. Chyba tu ich zamordują? Ale — dostają bochenek białego chleba. Dezerterzy spoglądają na siebie ze zdumieniem: — weisses Brot...

Nie pytani, zaczynają opowiadać. O koszmarze ostatnich pięciu lat. Mróz, wojna, bombardowanie. Przez ostatnie sześć miesięcy leżą bez zmiany na pozycjach. Są steryzowani przez naszą artylerię. Jak twierdzą, wielu niemieckich żołnierzy chętnie by uciekło. Tylko trudno to uczynić. Kompanie liczą od 40 do 70 ludzi, w tym wielu cudzoziemców przymusowo wcielonych do armii niemieckiej. Tych nie wysyła się ani na patrole, ani na placówkę.

Dezerterzy są rozlewni. Gadają dużo, szkoda, że trzeba ich odstawić dalej. Przed drogą zostają uprzedzeni, że jeżeli będą próbowali uciekać, zostaną natychmiast zastrzeleni. Śmieją się. Co? Oni uciekać? Toż oni marzą o niewoli już od dawna. Na pożegnanie machają rękoma i mówią: „Viel Glueck” — wiele szczęścia.

Poza Cassino, najbardziej ożywionym odcinkiem frontu włoskiego był odcinek batalionu „Wilków”. Po kilku dniach pobytu na froncie, żołnierz nauczył się zachowania na linii. Wie, że nie należy się kręcić bez potrzeby. Śmierci nikt się specjalnie nie boi, lecz przez odpowiednie zachowanie się można jej uniknąć. Rozróżniamy już artylerię własną i niemiecką. Wiemy już, jak lecą pociski moździerzy własnych i wroga. „Chałupki” wykute są w skałach. Dają doskonałą ochronę. Pociski rozrywają się blisko — przechodzi to bez wrażenia. Człowiek do wszystkiego przywyka... nawet do wojny.

Stanowiska nasze wbiły się klinem w pozycje niemieckie. Niektóre wysunięte plutony były bliżej pozycji niemieckich, niż własnych. W ciągu dnia żołnierz musiał leżeć w schronie lub leju, w nocy musiał się czołgać. Niektóre kompanie nie miały w swym rejonie wody. Po wodę, do rzeki — dwa kilometry ścieżki ostrzelanej przez Niemców — chodzili żołnierze i w blaszankach przynosili ją na górę. Było ciężko, ale nikt nie sarkał na trudy. Czasami przeklinano tylko tych, co wojnę tę wywołali.

MIECZYŚLAW STRYK

Namiot w ruinach

# JAK ZDOBYLIŚMY CASSINO

Monte Cassino, 18 maja 1944 r.

Jest godzina 22. Przed chwilą zesłaliśmy z Monte Cassino, tego wzgórza z ruinami starego klasztoru Benedyktynów, które przez tyle miesięcy wstrzymywało pochód Sprzymierzonych na Rzym. Dziś rano, o godz. 10 minut 20, oddziały 2. Korpusu Polskiego zatknęły tu sztandar biało-czerwony.

Przez cały dzień krążyliśmy po wzgórzach, okalających klasztor, tak obficie zroszonych świeżą krwią żołnierza polskiego. Krążyliśmy w podziemiach starej budowli, zamienionej przez Niemców na warowne obozowisko wojskowe. Znaleźliśmy tam stare, na pergaminie pisane, łacińskie książki pomieszane z propagandowymi wydawnictwami hitlerowskimi, sponiewierane na ziemi ornaty między niemieckimi sucharami i papierosami, obrazy Świętych użyte jako tabliczki informacyjne w rodzaju „Feld-post”. Oglądaliśmy tę górę i te ruiny, których zdobycie kosztowało nas tyle wysiłku, ale odkryło sztandary Wojska Polskiego nową, wiekopomną chwałę.

22 dni walczył Korpus Polski pod Cassino, mając do pokonania niespotykane dotąd trudności terenowe, wspinając się budowane przez 9 miesięcy umocnienia i najlepszego żołnierza niemieckiego. W ciągu pierwszych dwóch tygodni trzeba było trzymać linię obronne na stokach gór, pod nieustannym ogniem, nie dając się sprowokować do przyjęcia walki, do zdradzenia swojej siły i stanowisk. Trzeba było, pod ogniem artylerii i moździerzy niemieckich, korzystać z zapasów, przewożonego wyłącznie w nocy na mułach, opatrywać i znosić z góry rannych, rozbrajać pola minowe,

REPORTAŻ WŁASNY „PARADY”

RYSZARD MOSSIN

*Już po zamknięciu numeru [otrzymaliśmy, drogą lotniczą, reportaż naszego korespondenta z walk pod Cassino. Wskutek tego z przyczyn technicznych reportaż ten nie mógł zająć należnego mu miejsca na wstępie numeru.*

zakładać linie telefoniczne, wprowadzać na stanowiska ciężkie działa artyleryjskie. Trzeba było na odcinku zapamiętać nie raz o ciepłej strawie, ograniczać ilość zużycia wody, spać w pozycji kucznej gdzieś pod krzakiem, trwać ciągle w oczekiwaniu rozkazu do natarcia.

Rozkaz ten przyszedł w nocy z 11 na 12 maja. Bitwa, która trwała 7 dni, została rozegrana w warunkach, jakich nie znali dotąd doświadczeni żołnierze. Teren walki mieścił się w trójkącie między trzema wzgórzami Monte Cassino, Cifalco i Monte Cairo. Wszystkie te wzgórza znajdowały się w rękach niemieckich i dawały wrogowi doskonały widok w nasze stanowiska. Wystarczyło najdrobniejszy ruch na szosie, jakieś podejrzenie zmiany między krzewami i kamieniami, by obserwator artyleryjski dał znak i działa zaczynały ogień.

Korpus Polski nie nacierał bezpośrednio na Cassino. Miał opanować wzgórze okalające Mt. Cassino od północy, izolować je od reszty wojsk niemieckich i dopiero wtedy rozpocząć generalne natarcie na klasztor. By zdobyć te wzgórza, nale-

żało walczyć o każdy ich metr. Gdy my mieliśmy czas tylko na ukrywanie się w prowizorycznych schronach, okrytych tylko workami z piaskiem i celtą, Niemcy wybudowali tam stalowe pilboxy, głęboko wkopane w ziemię, którym artyleria, ani samoloty nie mogły nic zrobić.

— Stawaliśmy nieraz o dwa, trzy metry od takiego pilboxu i nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy, że mamy koło siebie Niemców — opowiadali nam żołnierze po natarciu. — Po czterech Niemców siedzieli w każdym pilboxie i poprzez wydrążone w nich otwory strzelali do nas z bliska ze Spandauów i Schmeiserów. Tylko granatami można było ich zmusić do wyjścia z pilboxu. Ale i wtedy nie miało się pewności, czy się poddają. Bo potrafili podnosić ręce do góry, trzymając w nich ręczne granaty gotowe do rzucenia w nas lub automatyczne pistolety.

— Mijaliśmy często całe metry ziemi — opowiadają inni — i nagle zaczynano do nas z tyłu strzelać. Dopiero wtedy spostrzegaliśmy, że miniliśmy doskonale zamaskowane pilboxy. Zasypany

nas ogień z dwóch stron. A nadto artyleria i moździerze niemieckie strzelały do nas nie tylko z przeciwnika. Z Cifalco i Belmonte, które górowały daleko za naszymi stanowiskami, spadały na nas pociski tak, że wydawać się mogło, iż to nasza artyleria myli się i strzela do swoich.

Kiedy się rozmawia z naszymi żołnierzami, aż podziwu godne, skąd się w nich bierze tyle zapału, diablej odwagi i ducha walki. Szli w największy ogień, a kiedy szeregi ich dziesiątkowano, atakowali z jeszcze większą furją i zjadłością. Likwidowali czasem w pojedynkę bunkry niemieckie, nie znali żadnego pardonu w tej walce. Oficerowie szli na czele swych oddziałów i padali na placu boju. Ginęli dowódcy i żołnierze, dowódcy brygad, batalionów, kompanij i plutonów.

— Kiedy zobaczyłem, że nasz porucznik padł przestrelony w głowę, ogarnęła mnie jakaś furia — opowiadał nam po walce jeden ze strzelców. — Rzuciłem karabin maszynowy i zacząłem rzucać w Niemców granatami.

Po pierwszych dniach walk, gdy w każdym plutonie wyrastały nowe krzyże na grobach, duch walki był ciągle wspaniały. Jednej nocy siedziałem między skałami na odkrytym zboczach górskim z kompanią, która od czterech dni wystawiona była na ogień nieprzyjacielski, kiedy słyszałem nieustający huk pocisków i patrzyłem na tych chłopców, śpiących na gołej ziemi, między grobami swych kolegów, bez żadnego naturalnego ubezpieczenia, zadałem sobie pytanie: Skąd ta ich siła?

Odpowiedź dali mi dwaj najmłodszy kompanii żołnierze — 18-letni i 20-letni.

Jeden i drugi przeszli przez więzienie i obóz pracy, stracili w Rosji rodzinę.

Jeden powiedział po prostu:

— Ot, trzeba się schylić, zamknąć oczy i iść naprzód, chyba pocisk nie trafi.

A drugi wypowiedział słowa proste, nie wyuczone z jakiegoś podręcznika, czy okólnika propagandowego:

— Jeśli zdobędziemy Cassino, to będzie to dla Polski bardzo ważne.

„Trzeba się schylić, zamknąć oczy i iść naprzód”. Tak zrobili. W nocy z 16 na 17 maja rozpoczęło się drugie natarcie. Dywizja Kresowa zajęła wzgórze „Widmo” i rozpoczęła natarcie na następne wzgórze San Angelo. Gdy bataliony znalazły się w wąwozie między dwoma wzgórzami, Niemcy otworzyli ogień zaporowy. Nasze oddziały straciły kontakt ze sobą, miały ogień ze wszystkich stron. Wzgórze San Angelo było już zajęte, kiedy zabrakło amunicji i trzeba się było wycofać.

Po kilku godzinach wzgórze było znów w rękach polskich. Kompania Komandosów i szwadrony Karpackiego Pułku Ułanów oraz Ułanów Poznańskich wsparły te działania, a następnie ubezpieczyły stanowiska Dywizji z prawego skrzydła na wzgórze.

Tymczasem Dywizja Karpacka nacierała na lewym skrzydle. Zajęła dwa wzgórza i rozpoczęła atak na Massa Albanetta, której zajęcie miało całkowicie zamknąć Niemców w klasztorze od północy. Przed piechotą szły czołgi. Jeszcze wcześniej saperzy musieli pod ogniem działać niemieckich rozbijając pola minowe i usuwać pułapki. Rozpoczęła się walka czołgów z bunkrami. Przez całą noc trwały zażarte walki. Jedno wzgórze siedem razy przechodziło z rąk do rąk. A tymczasem Niemcy zaczęli wycofywać się z klasztoru.

Gdy nad ranem Massa Albanetta została zdobyta, natarcie ruszyło na Mt. Cassino. Ale Niemcy woleli nie mieć do czynienia z Polakami. Z ostrzeliwanego przez nas klasztoru zaczęli zmykać w stronę wojsk brytyjskich, by oddać się im w niewolę, niż Polakom.

O godz. 10.20 rano, w dniu 18 maja klasztor był w rękach polskich. O tej samej porze dowódca VIII Armii, generał Leese winał gen. Andersowi odniesionego zwycięstwa i oświadczył, że „Polski Korpus przez swoje wspaniałe działanie dokonał wielkiej rzeczy dla ogólnego zwycięstwa”.



Pierwsi jeńcy niemieccy wzięci przez Karpaczków

Wielka ilość świeżych, nieopogrzebanych jeszcze trupów, porzucony sprzęt, całe kolumny sanitariuszy, znośnych na noszach rannych, duże grupy jeńców niemieckich prowadzonych przez naszych żołnierzy są najlepszym świadectwem zażartości walk, które tu się jeszcze przed paru godzinami toczyły. Nasi żołnierze są brudni i nieogoleni, na pewno bardzo zmęczeni, ale z jakąś dziwną radością patrzą na klasztor, w którym nie ma już Niemców i do którego dla odmiany teraz strzelają Niemcy, jakby tym murom było jeszcze mało. I każdy z nich, kiedy się go zapyta, jak to było tej nocy i rano, odpowiada, że tak, jak być musiało.

Ze starego klasztoru Benedyktynów zostały na powierzchni ziemi tylko szczątki grubych murów, których nie przebije żaden pocisk artyleryjski. Na jednym skrzydle zachowała się wysoka, kilkupiętrowa ściana. Z kształtu okien można

wnosić, że tu mieszczyli się mieszkania zakonników.

Podziemia klasztoru zamienili Niemcy na warowną fortecę. Po tych podziemnych krążyliśmy w dniu 18 maja, jak po katakumbach, oświetlając sobie drogę świeczkami „Made in Germany”, których pełno wala się na każdym kroku.

Wnętrze robi wrażenie mieszkania, pozostawionego w wielkim nieładzie, jakby gospodarz musiał się nagle wyprowadzić. Na ziemi leżą porzucane watywane kołdry, poduszki, sienniki, pomieszane z niemieckimi gazetami, opakowaniami od naboju, pudełkami od papierosów i stosami czarnych sucharów, przysyłanych żołnierzom, jako przesyłki pocztowe. Między tym wszystkim są na pewno drogocenne zapiski łacińskie, jakieś encyklopedie (które Wańkowicz postanowił przekazać zgodnie z wezwaniem red. „Orła Białego” do Oddziału Propagandy i Kultury), porcelanowe filiżanki i talerze. Kościół zamieniono na izbę sypialną. W

zupełnie ciemnej sali pod obrazami Świętych leżą trzej ranni jeńcy niemieccy. Są młodzi, mają na kołnierzu oznaki spadochronowe i zachowują się bardzo butnie. Bronili się w jednym z bunkrów na zboczach góry. Przed dwoma dniami zostali ranni i przeniesiono ich do klasztoru, skąd już nie zdążyli uciec. Należą do najlepszej niemieckiej dywizji.

W jednym z korytarzy stoją wielkie skrzynie. Kryły one prawdopodobnie skarby klasztorne. Podnosimy wieko jednej z nich. Uderza nas straszliwy odór. W tych skrzyniach Niemcy chowali zwłoki swych kolegów. Po chwili ktoś odkrył zwłoki w zwykłym worku na rzeczy. Trzeba natychmiast wyjść z podziemi.

Kiedy zaczynamy schodzić z góry, na klasztor spadają pociski niemieckie. Z doliny patrzymy jeszcze długo na tę dziwną górę, która kosztowała tyle ofiar, a na której powiewają teraz dumnie flagi: polska i brytyjska.

## AMERYKA Z POMOCĄ POLSCE

Ciemno-niebieski krzyż na biało-żółtym tle, dokoła, w kole napis: „War Relief Services — N. C. W. C.”. Takie opaski pojawiły się niedawno na mundurach polskich, to Ameryka, to katolicy Stanów Zjednoczonych zjawili się z dobrą wolą, z pomocą!

Służba Pomocy Katolickiej Polakom jest planową akcją, pozostającą w ramach katolickiej organizacji ogólnej, (National Catholic Welfare Conference),

a została podjęta specjalnie dla niesienia pomocy Polakom nie tylko podczas wojny, ale również w Kraju, po zakończeniu działań wojennych. Organizacja ta skupia wszystkich katolików amerykańskich.

Zasięg działalności tej służby obejmuje dzisiaj polskich jeńców wojennych oraz tereny Anglii, Środkowego Wschodu, Afryki Wschodniej, Meksyku oraz Włoch. Finansowa pomoc i akcja Ame-

rykanów, w pierwszym rządzie polskiego pochodzenia, łączy się z pomocą Polek i Polaków: powstają ośrodki pomocy i rozrywki dla żołnierzy polskich, a także dla naszych uchodźców. Do polskich skupień uchodźczych dopływa również z tego samego źródła amerykańskiego, pomoc szkolna i zdrowotna — książki, instrumenty medyczne itp. Dotychczas już wysłano do Afryki Wschodniej dla Polaków pięć

statków ze sprzętem różnego rodzaju. W Nowym Jorku wydrukowanych zostało 30.000 książek polskich, część z nich dostarczono już uchodźcom. Na ten cel wydała Służba Pomocy Polakom dotychczas 60.000 dolarów, nadto 70.000 na sprzęt świetlicowy, a 40.000 dolarów na pomoc medyczną.

W niedługim czasie wystane zostaną do Indji i Iranu statki, załadowane sprzętem, przeznaczonym dla uchodźców polskich. Wartość tego sprzętu, zaopatrującego szkoły, świetlice i szpitale, wynosi 44.000 dolarów. Również we Włoszech Służba Pomocy Polakom zamierza utworzyć w najbliższym czasie 40 ośrodków dla żołnierzy polskich, kilkanaście ruchomych kantyn i zorganizować domy wypoczynkowe dla żołnierzy i ochotniczek. Największe jednak przygotowania dotyczą okresu powojennego, kiedy to War Relief Services przyjdzie władzom polskim z pomocą w odbudowie Kraju. W licznych uczelniach amerykańskich 67 osób studiuje organizację pracy społecznej i warunki, w jakich pracować będą w Polsce.

Organizacja Służby Pomocy Polakom na Środkowym Wschodzie pozostaje pod kierownictwem delegata Episkopatu amerykańskiego, któremu pomagają asystenci, przybyli ze Stanów Zjednoczonych. Służba Pomocy Katolickiej Polakom — to piękny wyraz łączności Ameryki, w szczególności Polonii amerykańskiej z Polską.

Ks. Delegat Wycisło ze Służby Pomocy wśród Junaków

Junacy w świetlicy katolickiej



# ZIEŁONE BERETY

Reportaż niewojenny — zdjęcia autora

WIKTOR OSTROWSKI

Nasi komandosi mają już wyrobioną markę, i to wysokiej klasy. Pierwsi Polacy na tutejszym gruncie. Ciężkie zadania. Opinia i pełne szacunku uznanie dowództwa angielskiego itd. itd.

Broń Boże nie napiszę, że są „skromni, zdyscyplinowani i odważni...”. Jest to przywilej przełożonych, potwierdzony wielką ilością Krzyży Virtuti Militari i Walecznych. I krzyży drewnianych. I sal szpitalnych. O swoich wyczynach opowiadają niechętnie i dziwnie lakonicznie. Nie piszą „historii” i kronik nie prowadzą. Odkładają to na lepsze i spokojniejsze czasy. Teraz mają „robotę”. Uważacie? Nazywają to po prostu — „robotą”! I wcale nie ubiegają się o tytuł stachanowców.

Stare przysłowie powiada: „Z człowiekiem trzeba beczkę soli zjeść, by go dobrze poznać”. Co do komandosa, powiedziałbym, że trzeba z nim beczkę wina wypić, aby język rozwiązał. A jako, że są ludzie trunkowi i łby mają tęgie — może nawet jedna nie starczy. I wtedy będzie opowiadał, dziwnie ciepło i dziwnie serdecznie... Nie o sobie i swoich wyczynach, ale o tych druhach, co do szpitala odeszli, lub na zawsze w ziemi włoskiej zostali. Całe bowiem Commando jest związane, scementowane najpiękniejszą rzeczą pod słońcem — przyjaźnią męską i braterstwem krwi. To już samorzutnie powstaje w czasie takiej „roboty”. Powiedzmy — „mokrej roboty”.

Teraz są na odpoczynku. W odwodzie. I choć na tych zasłużonych wakacjach przynosi się ich stale z jednego m. p. do drugiej, jeszcze gorszej dziury — ćwiczą, uczą się, doskonalią się nadal. No i w chwilach wolnych... jakby to powiedzieć... niszczą alkohol w każdej postaci. Smoki sakramenckie!

Byłem u nich na jajku. Jajku wielkanocnym. Odludzie. Zapomniana wioszcyna włoska. Stół wielkanocny, ksiądz — Włoch święcił. A potem rozczulił się księżyna i zamieniwszy parę słów z obecnym, wbitym w uroczysty tużurek burmistrzem — kropnął kazanie. Teraz

„Tango Argentinal Como no, Senor! Toż kopę lat tam spędziłem”



Lepsze to, niż butelka...

Piękne to było wojsko-gwardia. Doborowe! Wysortowane, wybrane z milionów! Chłop w chłopca, jak lale malowane, jak żołnierzyki ołowiane z jednej formy odlane! A i wymagania przy tym wyborze stawiano nie byle jakie: przecież taki car Paweł do „swoich” pułków wybierał takich tylko, co nos krótki, a zadarty mieli... Na modłę nosa Cesarzowej Mości! A wiarusy gwardii napoleońskiej? Te wąsy sążniste? Wzrost czapą niedźwiedzią jeszcze podwyższony? A Fryderyk Wielki, co to mniejszego chłopca, niż blisko dwa metry, za gwardzistę nie uważał!

I jak takie wojsko defilowało! Ziemia drżała! Równało — choć niwelatorem sprawdzaj! A chwytły robiło — jeden trzask — jeden stuk!

Oczy barwami tęczy radowało. Czerwień, złoto, srebrne haftki, guziki, pętelki, akselbanty, z łosiowej skóry spodnie... na mokro — do figury wkładane! Gorsetem ponoć też nie gardzono.

A tańczyli, dzwoniłi ostrogami, a serca kobiece jednym spojrzeniem do stóp kładli!

Cwardia!

Miły te czasy, znane nam z powieści historycznych, z filmów, z operetki. Ale teraz w tej wojnie totalnej, mamy też swojego rodzaju „gwardię”. Nie mówię o tej latającej, czy pływającej, ale takiej, co starym zwyczajem po twardej ziemi się rusza.

Zestawić ją, porównać z tą starą? Pozal się Boże! Ani blasku, ani trzasku. Wzrostem: i tyki duże, i taki, co go grubo niżej. Słabego zaliczyć trzeba. Nosami, wąsami — rozmaistość i pstrokaczna wprost gorsza. Chwyta mi i musztra

chyba też niejedna kompania wartownicza ich zakasuje.

A jednak... wybierano do tych oddziałów starannie, przez sito niejednego badania cedzono! Tylko ochotników! I tylko takich, co płuca z szerokim oddechem i serce końskie i oko celne i ręka twarda i głowa otwarta.

Nie żąda się od nich, by „ziemia pod stopami drżała”, ale wymaga się, by chodzili cicho jak koty. Nie równanie „na włos”, ale w pełnym rynsztunku, z maszynkami i granatnikami swoich jedenaście kilometrów na godzinę odwalić trzeba. I łnić, czarować też nie muszą, bywa za to, że gęby na modłę dzikusów sadzą, czy innym paskudztwem smarują, a „suknie mocno plugawe” wkładają. Błyszczące akselbanty zastąpiły liny grubasne, szable dzwoniące — noże w nogawce ukryte, czaka i czapy ogromne — hełmy brudno-zielone, siatkami, gałkami, szmatkami zeszepeczone.

I gęsi krok na placu musztry odpadł.

Pozostał marsz — przez pola minowe, czołganie się przez zaskaki kolczaste, małe łażenie po drzewach i skałach, pływanie w rynsztunku, i skoki... z paruset metrów.

Dziwna to „gwardia”, co to żadnej cesarskiej, czy królewskiej mości nie służy, a walczy dla Sprawy swego narodu i wolności świata. Anglicy i Amerykanie, Belgowie i Francuzi, Norwegowie i Holendrzy. I my — Polacy.

I „gwardię” wcale ich nie nazywają, choć są zawsze tam, gdzie najtrudniej, najniebezpieczniej. Są pierwsi. Na rękawie noszą skromny napis: „Commando” i swój znak kabalistyczny.





Współcześni „trubadurzy”

Choć zimny deszcz, ale ostra zaprawa musi być!



kompanii...



znam wagę powiedzonka: jak na tureckim kazaniu! Było to zupełnie to samo, a trwało minut czterdzieści i osiem. Z namaszczeniem i przejęciem słuchało bractwo, niedobrym okiem łypiąc na uroczystego reprezentanta ludności cywilnej, który bez zenady pałaszował w tym czasie pierniki. Po czym „wódz” (komandosi są diabelnie wszechstronni) całe kazanie przetłumaczył dosłownie:

— Zrozumieście tyle, co ja. Musiało być bardzo piękne, więc... pijmy zdrowie. Pito. I to jak!

Kazio, sierżant-szeff, co to za matkę kompanii uchodzi, a minę... teściowej posiada — wyparł się Commando. Nie należy do nich, nie jest szefem! Jest... wilkiem! I wył, słowo daje, wył głosem zawodowego wilka leśnego! O północy bractwo było „gumowe”, i uliczki były za wąskie, i niejedno posłanie na właściciela napróżno czekało. Lecz dnia następnego, o godzinie siódmej rano, byłem świadkiem cudu: kompania wypucowana, wygolona, zapięta na ostatni guzik... wymaszerowała!

Jako „fachowiec” z uznaniem piszę — miedziane były!

Korespondentem nie jestem, więc i wywiadu z nimi nie robiłem. Nie lubię zresztą tego diabelnie.

Gwoli jednak prawdy muszę rozwiać szereg legend i opinii krzywdzących, które krążą na temat zielonych beretów.

A więc: nieprawdą jest, jakoby śpiewali wyłącznie pieśni nie cenzuralne.

Prawdą natomiast jest, że mają też pieśń piękną, poważną i wzniosłą — marsz pogrzebowy dla swego „wodza”. A „wódz” ostatniego z ostatnich śpiewaków przeżyć przysięga... i śpiewa z nimi razem.

Nieprawdą jest, że łapiduch komandosów żywcem pożera włoskie niemowlęta

Buty — cichochoły ↓



Kobieta z głową to fajna rzecz, ale jak na tej głowie jeszcze beczka wina, no, to dopierol!

Zielone berety jako druczki

i serca dziewczęce. Prawdą natomiast jest, że za lingwistę uchodzi i przed dekoracją Krzyżem Walecznych, dwa dni uczył się odpowiedzi: „Ku chwale ojczyzny, Panie Generale”. Potem, w chwili decydującej, ledwie wykrztusił: „Dziękuję... bardzo... Generale...”

Nieprawdą również jest, jakoby strzelec Niegrudzień był niemową, bo sam słyszałem jak w czasie dekoracji Naczelnego Wódza zapytał go, gdzie był ranny. Padła wyczerpująca odpowiedź: „Urodziłem się w Sosnowcu Panie Generale... a to wszystko przez to, że zegarka nie miałem... bo by się kółka jego rozsypały... a tak, to tylko papierosy w tej papierośnicy, no i kula osłabła...”

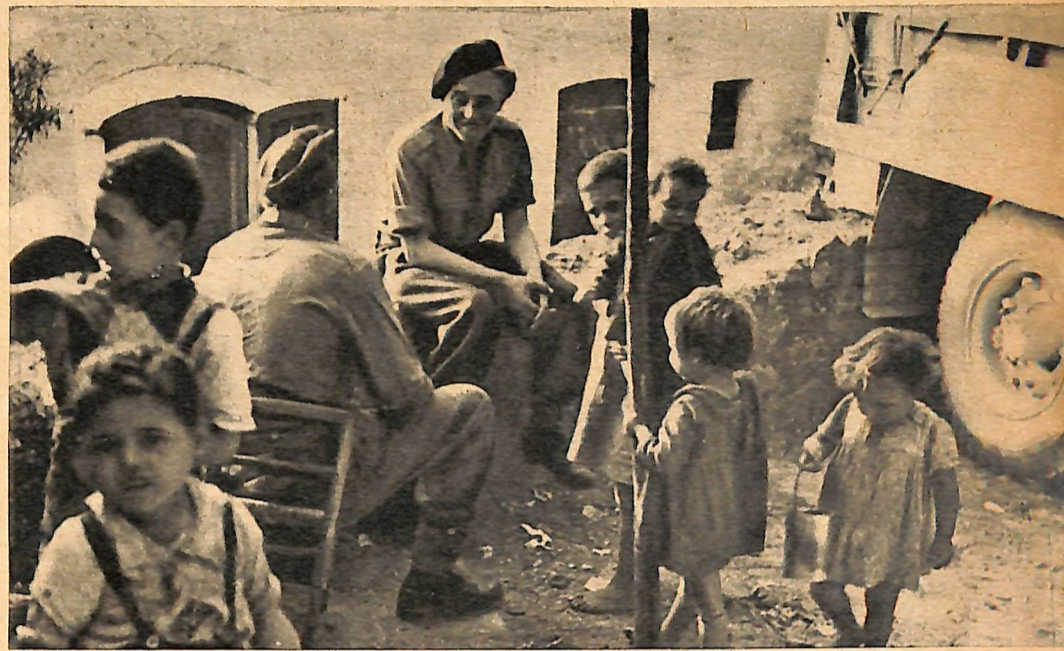
I prawdą jest, że dostał od Naczelnego Wódza zegarek, a teraz marzy o papierośnicy.

I jeszcze jedno: nie wiercie, że komandosi lubią się fotografować. Z własnego doświadczenia wiem, że sztuczkami magicznymi ściągają chmury deszczowe, by w czasie ulewy bezbronnego fotografa ogrzać do suchej nitki w karty.

I wreszcie błaga jest, jakobym wrócił od nich w... wyprzeżonych portkach.



Daleka rozmowa



Nieprawdą jest, że komandosi zjadają małe dzieci...

# K S I A Ż K A W Y D A N A W W A R S Z A W I E



Krakowskie Przedmieście

Dokonajmy kilku rekonesansów na rozmaitych punktach i odcinkach „polskiego placu boju”. Wczoraj wrócili do domu, wrócili jako cywile. Nikt z Niemców się nie dowiódł, że spełnili swój obowiązek żołnierski. Żegnając się przyrzekli sobie, że po tygodniowym odpoczynku zabiorą się natychmiast do pracy. Rozpoczęli ją jednakże nazajutrz, a właściwie rozpoczęli ją w tym dniu, w którym kapitulowała Warszawa. Ci młodzi ludzie ani na chwilę nie złożyli broni. W czasie całej drogi powrotnej myśleli o jednym: w jaki sposób rozpocząć.

I tak było wszędzie: gineła broń, którą trzeba było oddać. Zniknęły pasy, czapki, płaszcze, buty, maski gazowe. Z nieprawdopodobną zapobiegliwością ludzi naprawdę niezwykłych, myślących tylko o tym, że to naprawdę jutro się przyda, chowano wszystko w najdalsze kąty, aby jak najwięcej zabezpieczyć. Gineły całe biblioteki publiczne. Jakis „nieostrożny” czystownik zostawił otwarte drzwi do instytucji, szkół, bibliotek, by jacyś „nieznani” sprawcy zabierali w „nieznane”.

„Wywozić jutro będą ulicę południową!... Mam listę! Trzeba wszystkich zaawidomić!”

Ruszyło pogotowie. Rozpoczęła się bieganina i krzątanie. Ostrzega się, kogo tylko można. Ludzie dokonują cudów, aby w największej ciszy i w spokoju nieznanie ratować jak najwięcej.

Czasem alarm był fałszywy. Niedokładny. Często się nie sprawdzało. Ale dzielnicę całą — jako odcinek frontu — trzeba było postawić na nogi, aby czuć i być przygotowanym na ewentualny atak nieprzyjaciela.

„Dzisiaj w nocy obława!”

Całe miasto musi o tym wiedzieć. Znowu gorączka i podniecenie. Znowu strzępią się nerwy. W domach zamieszają

nie i bieganina. Mężczyźni wędrują na strychy, wyprowadzają się z domów. — Przegrupowanie wojsk. — Indywidualnie, lub dwójkami, trójkami wędrują po prostu na pola, na przedmieścia, do ogrodów, do pobliskiej wsi, a w najlepszym wypadku do altany ogrodowej.

„Nowy transport na roboty do Niemiec!”

Teraz... formacje niewiast opuszczają domy. Mieszkania ciotek, koleżanek, sąsiadek, przyjaciółek — to punkty zabezpieczające. To nie jest cofanie się przed nieprzyjacielem — to jest manewr. W każdej chwili wrócić na opuszczone pozycje. Matki muszą tu ukryć całą obawę. Trzeba córki hartować w obliczu niebezpieczeństwa. I wszyscy zaprawili się już w tej walce. Ileż w tym najpiękniejszego bohaterstwa!

„Nie wychodzić na miasto — branka na ulicach!”

Tu trzeba cały aparat postawić na nogi, aby w jak najkrótszym czasie jak najwięcej osób dowiedzieć się mogło o grożącym niebezpieczeństwie. Tu każda przekupka, każdy przechodeń, każde dziecko, gazeciarz — to żołnierze, to wiad, to propaganda. Wiadomość o nowych ruchach nieprzyjaciela dociera do wszystkich. Znowu się przystosowano...

„Będą rewizje za żywnością!”

Sodoma i Gomora. „Gdzie te resztki pochować?... Nikt tu nie jest pewny. A może tych skromnych zapasów nie zabiorą?”

Alarm był fałszywy. Ale domy-twierdze musiały się na to przygotować. Trzeba zabezpieczyć resztki zapasów, aby nie wpadły w ręce nieprzyjaciela.

„Niemcy wprowadzają nowy system rejestracji mieszkańców!”

„Jak się od tego uchylić?” „Jakie tu mogą być konsekwencje?” Narady i konferencje. Po mieście krąży ustne komunikaty. Jest to wielki kłopot. Wśród

Reprodukcja wstrząsającej dedykacji z oryginału książki

DO POWSTANIA KSIĄŻKI TEJ PRZYCZYNIŁI SIĘ:  
GRUPONY KONSPIRATOR,  
OCALENI Z POGROMÓW,  
SEDZIA,  
KTÓREMU WCIŚNIĘTO PIORO DO REKI,  
WYWLASZCZENI,  
MATKA,  
KTÓREJ DZIECI WYRWANO NA PONIEMCE,  
SWIADKOWIE  
EGZEKUCYJ PUBLICZNYCH,  
HISTORZYK LITERATURY,  
KTÓRY STAĆ SIĘ MUSIŁ HISTORYKIEM MĘCZENSTWA  
SWOJEGO NARODU,  
LUDZIE,  
KTÓRYCH ŻEŹNANIA POSIADAJĄ JUŻ CERTYFIKAT ŚMIERCI,  
PRZECHODZIEŃ,  
ŻOŁNIERZE

obrońców domów-twierdz żyje i walczy już tyle „zabitych”, „umarłych”, skreślonych z listy miejskich kartotek. „Co tu robić?”

„Otwarto znowu Narodową Listę Niemiecką!”

„Co z nami będzie, gdy się nie wpisujemy?”

— Nie wolno! — krótki komunikat nieznannej redakcji krąży wśród obrońców twierdz: — Nie walcie się! Polska się z nimi policzy... Państwo... Rząd... Armia... I spokój wśród obrońców twierdz.

Z przeżyć konspiratora:

„Po raz trzeci przyszli po mnie. Jak poprzednio o północy. Rewolwery, latarki, okrzyki wściekłości, awantury po całym domu. Wymknąłem się im z rąk w ostatniej chwili.

I znowu wszystko skrupiło się na biednej matce. Matka musiała zostać na posterunku.

— Gdzie on, co? Kiedy... Przecież tu łóżko!...

— To ja tu śpię...

— A tu?

— Ten mały...

— Co, w tak dużym łóżku?!

I sprawa wlecze się długimi minutami, bez końca. Węsenie po całym mieszkaniu. Rewizja trwa, wśród ordynarnych uragań i klątw. Poszli. Już po burzy. Już po wszystkim.

Wracam starymi schodami do domu. Na środku kuchni stoi zbiedzona i zupełnie zesłabnięta matka w objęciach Wandy. Matka siania się od wyczerpania. Mnie jeszcze nogi drżą z przejęcia, jeszcze serce wali straszliwie. A przecież nie mogę tego pokazać! Matka płacze: — To już tyle razy!... Kiedy to się skończy?

Jakieś dreszcze ją przechodzą. I Wanda prawie że się załamuje. Jestem w tej chwili zupełnie bezbronny. Przecież dla tych niewiast jestem synem i bratem.

Patrzę prosto w zboląłą twarz matki i porane bruzdami czoło. Oczy jakieś przygasłe, wargi zbladłe — i ta siwizna włosów!... Tak pewnie wygląda ranny żołnierz, strudzony długą, wyczerpującą walką...

Czuję, że mnie szloch rozsadzi od wewnątrz. Ściskam pięści! Mogę się tu przydać. Zresztą — jest już za późno. Moje obowiązki już mi na to nie pozwalają...

Patrzę znowu na tę umęczoną, zboląłą twarz. Ura sta mi w tej chwili do ogromnego symbolu: cierpiącej Ojczyzny. Serce me napełnia się dumą i radością, że mi tak wolno było uosobić Ojczyznę w matce.

Tym głębiej przeżywam ten cały nocny dramat. Cierpienie... serce... zmęczenie — nerwy, nerwy...

Muszę się na jakiś czas wynieść z domu, ale z Wielkopolski się nie ruszę!”

Kajtek jest oficerem. W jakiś sposób zdołał uniknąć niewoli. Wrócił do domu. Oczywiście o rejestracji nie było mowy. To pierwsze jego przestępstwo. Nie mógł także siedzieć z pustymi rękami. To drugie jego przestępstwo. Ciekawa policja zaczęła się o niego dopypywać. Uciekł. Po kilku miesiącach wrócił. Nowa akcja: radio, komunikaty radiowe. Jego sąsiad, pies renegat „Volksdeutscher” doniósł policji. W chwili, kiedy ta wkraczała do jego mieszkania, wymknął się oknem. Cały dom skompromitowany. Odkryto wszystko. Kajtek przeszedł całą martyrologię. Ma znowu nowe dokumenty. Pracuje jako parobek u gospodarza. Znowu gorąco. Wędruje od wsi do wsi. I ma stałą łączność z miastem. Po pewnym czasie odważa się na powrót do domu. Ojciec urządził mu świetne locum. I znowu rezyduje. Gdzie dzisiaj jest — nie wiadomo. Ale on tam musi zostać. Bo — jak sam mówi — jestem oficerem na wolności i muszę spełnić swoje zadanie.

„Wczoraj zostałem wezwany na policję. Proponowali mi, abym się wpisał na „Volksdeutscha”. Będę miał lepiej, dostanę prawo niemieckie, puszcza do domu, pracę z mojego zawodu dostanę

i od siedemnastu lat będę mógł iść do wojska. Na to całe kino odpowiedziałem, że nie ma myśli. I że byłem Polakiem, jestem i będę. Możesz sobie wyobrazić ten widok. Przyznam się, że teraz płaczę. Wzięli mnie do pokoju i bili gumową pałką, że mam sińce. Jak mnie bili, to się pytałem: „czym będziesz?” „Kto lepiej bije, bolszewicy, czy my?” Myśleli, że będę błagał o litość. A bijcie mnie, nie jestem szklanka!”

(Wyjątek z listu piętnastoletniego chłopca, wywiezionego na roboty do Rzeszy).

Najbiedniejszy — jeszcze biedniejszy musieli zorganizować akcję pomocy. Tyle zostało opuszczonych rodzin wojskowych, tyle nędzarzy zrujnowanych wojną. Po miastach cisną się ludzie wywożeni ze wsi. Ludzie wczoraj jeszcze zamężni, kupcy, rzemieślnicy domagają się pomocy. Niemcy nie pozwalają zorganizować akcji. Wśród tego ciężkiego życia wykwiła z serc ludzkich najpiękniejsza solidarność. Solidarność ta jeszcze mocniej zespala całe społeczeństwo, zbliża wzajemnie do siebie. I w tych trudnych chwilach jest wszystko: i aparat gospodarczy, i aprowizacja, i pośrednictwo pracy, i nie tknięte jeszcze mieszkania stoją otworem, opieka religijna, zdrowotna, i szkolnictwo jakoś tam działa i tak bez końca. Duch konspiracji przeniknął do głębi całe społeczeństwo i związał je ze sobą nieprzerwalnymi



Tarnopol po walkach sowiecko-niemieckich

węzłami. Solidarność w walce z Niemcami, to jedna z najlepszych broni. Zwały się szeregi obywatelstwa i najszerzych warstw w tej jedności i braterstwie, w całej tej dzielnej gromadzie, do której przeniknęły prawie że uczucia rodzinne. Każdy manifestuje na swój sposób wolę przetrwania.

Ileokroć trzeba było dokonać specjalnego czynu, konspiratorzy mówili o Somosierze.

W mieście obława. Dzisiaj trzeba koniecznie dokończyć drukowanie gazetki. Komunikaty nie mogą się zdezaktualizować. Bogusz wędruje z maszyną do pisania i z całym materiałem redakcyjnym przez miasto. Wreszcie złapała go policja: — Stop! Gdzie, co i po co? — odwieźć maszynę do firmy, gdzie pracuje. Policja odprowadza Bogusza na posterunek, tam wpisuje go na listę, następnie odprowadzają go do domu i tam dopiero w ogniu największego niebezpieczeństwa udało mu się zniszczyć kompromitujący materiał.

Bogusz do dziś nie wrócił z Dachau.

\*) Fragment z książki pt.: „Z pierwszej linii frontu”, która została napisana w Kraju i wydana w Warszawie w marcu 1943. Przedrukowano ją w Anglii, w Książnicy Polskiej w Glasgow.

Z PIERWSZEJ  
LINII  
FRONTU

WARSZAWA, W MARCU 1943 R.

# Żegnaj, Castel di Sangro



Dzieci z Sangro traktują wojnę jako zjawisko naturalne. Kiedy słońce świeci i armaty niemieckie milczą, można doskonale tańczyć



Lina di B...

— Ach, wy miłe dzieciaki z Castel di Sangro, wszystkie Rosetty, Vincenzina, Giovanniny, Berty i Marije, nie spotkamy się ani dziś, ani jutro. Komu będziecie śpiewały polskie piosenki, dla kogo będziecie zbierały pod ogniem pierwsze pierwiosnki na podmiejskiej łące?

Żołnierz polski wyjeżdżał, żegnany waszym płaczem. Robili marsowe miny — jasna rzecz, „molto acqua” mówił porozumiewawczo taki wiarus do drugiego, ale nieswojo im było, niewyraźnie. I dziś znowu wracają do was myślami. Mam przed sobą fotografię, jak obtańcowujecie drzwi zamkniętego kościołka. Zazdrościł niejedyn waszej radości i pogody. Nie spotkamy się już nigdy. Arivederci, bambini!

Castel di Sangro. Wokoło tej skały w Abruzzach oddział polski przeżył kilka tygodni. Czas płynął. Pociski padały na miasto, a kruche domki przeobrażały się stopniowo w zwały gruzów. Miasto pustoszało z dnia na dzień, ale nie wyludniało się doszczętnie. Bytowanie ludzkie

czepiało się uparcie nawet ruin. W ocalałych izdebkach kołatało się, przeplatając z życiem naszych żołnierzy. Dziewczęta haftowały świerki na rękawy mundurów. Gwizd pocisku odgradzał złoty uśmiech od śmierci. Kiedy dotarliśmy tam z Newellem, amerykańskim fotoreporterem — przelotne ptaki z wielkiego świata — dziewczęta z Castel di Sangro przyjęły obojętnie ofiarowaną sobie puszkę Corned Beefu. Zapytały o... pomadkę do ust. Na to zapadła nasza decyzja, że tylko w Castel di Sangro wybierzemy „królową no-mans landu”. Dopiero potem okazało się, że pomysł był bardzo niebezpieczny. Co tam rozwodzić się. Jest dużo pięknych kobiet w tym apenińskim Alkazarze. Kiedy wieczorem rozkładaliśmy nasze koce do spania, Newell zagadnął mnie niby to mimochodem.

— Znalazłeś co?

— Znalazłem dwie. Do tej pory nie mogę się zdecydować, która?

W ogóle Newell tak się zaplątał w wyborach, że bodaj już przy trzeciej kandy-

datce umówił się na randkę i wycofał z konkursu.

Ale oszczędźcie sami. Fotografie znajdziecie obok. Dziewczyna w żałobie ma na mię Maria, mieszka z matką i ośmiorgiem rodzeństwa w tej połowie napół zrujnowanego domu, którą pocisk oszczędził. Ojciec zginął, trafiony odłamkiem.

Ta pani na balkonie, na tle obdżiobanej szrapnelami fontanny i startego na proch miasta — to Lina di B. Proszę mi darować, panno Lino, że nie przywożę z Neapolu tej pomadki i pantofelków na wysokich obcasach, o które wtedy tak uroczo prosiła pani. Los inaczej pokierował moimi ścieżkami i nie wiem, czy kiedykolwiek trafię już do Castel di Sangro.

Pięć Włosek z Castel di Sangro zgłosiło się do służby w PSK. Nasze najlepsze myśli są z wami. W ogniu zdałyście swój egzamin nie gorzej od żołnierzy. Jeżeli włożycie na siebie mundur polskich ochotniczek, nie zabraknie wam u nas przyjaznej dłoni, ani życzliwego serca.

Nasze wspomnienia długo jeszcze będą wracać do Castel di Sangro

Z biegiem czasu zapomną o Polakach w Castel di Sangro. Marije i Giovanniny nauczą się nowych piosenek, a ich starsze siostry przeboleją rozstanie i pokochają innych chłopców. Nie o to jednak chodzi. Wspomnienia niejednego z tych, co w Castel di Sangro przeżył najpiękniejszą przygodę swego życia, będą wracać długo jeszcze do tych zrujnowanych uliczek, do pięknego kościoła, a najwięcej do ludzi, co tam pozostali.

Dowidzenia — „obrono Częstochowy”! Żegnajcie schrony, kute w skałe polskimi rękami, nastroszone „piłatówki”, żegnaj najbardziej urocza mieszanina ruin, śmierci, piękna i zawsze zwycięskiej młodości — Castel di Sangro.

Żołnierz, który wrócił stamtąd, nie może zapomnieć minionego czasu. „Carissima” — pisze w liście do swej dziewczyny — kiedyż znów pójdziemy na spacer na pola minowe? Pamiętasz, wtedy o księżycu, przy tym wielkim leju od bomby pocałowałaś mnie pierwszy raz”...

Witold Domański

Kościół opustoszał, ale nie stracił nic ze swego szlachetnego piękna



## Na odcinku VIII Armii

Patrol kanadyjski na froncie



Ortona jest na pewno najbardziej zniszczonym miastem we Włoszech. Miastem: to stanowczo za mocno powiedziane. Jest jednym, wielkim rumowiskiem, śladem zabudowań, zamienionym teraz na kanadyjski obóz wojenny. Ruiny starej katedry, zabytku z VI wieku, sterczą pośrodku, jakby dla zadokumentowania, że choć nie w całości, to jednak przetrwały jeszcze jedną zawieruchę wojenną.

Linia frontu biegnie zygzakami na północ od szosy Ortona—Orsogna, po której błotach balansuje teraz nasz Jeep. Wszędzie dokoła misternie skonstruowane fortyfikacje niemieckie, na granitowych palach powiązane drutami gałęzie. Na drodze kolejowej fantastycznie powykręcane szyny i przecięte na pół granitowe wiadukty.

Mijamy stojący na uboczu, w polu, ceglany budynek, podziurawiony pociskami. Koledzy dziennikarze kanadyjscy, którzy znają już dobrze te strony, opowiadają, że mieszkańcy tego domu przez dwa tygodnie ukrywali się w polu, a w dom ich trafiały tymczasem pociski artyleryjskie Kanadyjczyków i Niemców. Susząca się teraz koło domu bielizna świadczy, że wróciło tu normalne życie.

Strzały artylerii słychać coraz wyraźniej, jesteśmy już bardzo blisko frontu. Tylko nad nami jest spokój, niemieckich samolotów nie było od bardzo dawna.

Liczne spotyka się za to groby, a na krzyżach na przemian nazwiska brytyjskie, niemieckie i hinduskie. Boczną, śliską drogą zjeżdżamy w bok. Tu leżą ci, którym nie zdążyło jeszcze postawić krzyży. Na kopcu ziemi hełm i buty. Polegli tej nocy w walce o wioskę, do której się zbliżamy. Przed paru godzinami byli tu jeszcze Niemcy. Wśród ruin chałup i gruzów kamieni spostrzegam pochyloną postać starszej kobiety. Nie żyje. Została widocznie trafiona odłamkiem bomby, lub pocisku artyleryjskiego i jakimś dziwnym trafem pozost-

stała tak w pozycji stojącej między zwalonymi kamieniami.

Dowództwo oddziału kanadyjskiego, który zdobył wieś, mieści się w dobrze zakamuflowanej chatce. Przybyli tu przed kilku godzinami, ale pokój zawieszony jest już mapami, co chwila dzwięczy telefon. Wchodzi zabłocony i zziębnięty, mimo że na dworze jest zimno, porucznik. Jego drużyna wzięła kilku jeńców. Wśród nich jeden mówił po polsku, miał bowiem żonę Polkę. Wszyscy byli dobrze poinformowani o tym, co się dzieje na froncie wschodnim i o bombardowaniach miast Rzeszy.

To dzięki ułotkom, które zrzucają nasze samoloty i które pakujemy w pociski artyleryjskie — mówią nam major kanadyjski. A później dorzucą do tego jeszcze jedną uwagę: „Jestem w Europie od inwazji na Sycylię. Zarówno tam, jak i później pod Salerno spotykaliśmy zupełnie innego żołnierza niemieckiego”.

W sąsiadującym z wioską wąwozie spotykamy inny oddział, złożony z Kanadyjczyków, pochodzenia francuskiego. Młody pułkownik kończy właśnie opracowywanie rozkazu dziennego, w którym wyraża podziękowanie dwóm sierżantom za ich bohaterski wyczyn. Niemcy przecięli linie telefoniczne między dwoma skrzydłami kanadyjskich oddziałów. Dwaj sierżanci, nie zważając na ogień npla, naprawili uszkodzenia i dzięki przywróceniu łączności natarcie mogło być dalej prowadzone i zakończyło się wyparciem Niemców z wąwozu.

Pułkownik wyciąga z plecaka butelkę kanadyjskiej whisky. Dopiero teraz ma chwilę czasu, by uczcić otrzymane przed tygodniem odznaczenie bojowe.

— Mam nadzieję — mówi — że niedługo będę mógł panów gościć bardziej na północ od tego miejsca. Na razie jednak nie radzę ryzykować wycieczki dalej, bo patrole niemieckie kręcą się w odległości kilkunastu metrów.

Ryszard Mossin

# PRAWDA O NIEMCACH

Emil Ludwig jest jednym z najlepszych, żyjących dziś znawców Niemiec i duszy niemieckiej. Nie dlatego, że sam jest Niemcem z urodzenia, bo Niemcy najgorzej zwykle znają swój własny naród. Oczywiście, niemieckie pochodzenie i wychowanie dostarczyły mu solidnych podstaw. Prócz nich trzeba jednak wyjątkowych, jak na Niemca, cech charakteru i umysłu, by umożliwić powstanie takich dzieł, jak książki Ludwiga. Trzeba było głębokiej znajomości literatury, historii, filozofii i psychologii Niemiec.

W bardzo młodym wieku, jeszcze jako obywatel niemiecki i w Niemczech, wydaje Ludwig dwa dzieła: „Goethe” i „Bismarck”. Widać z nich, że młody historyk szuka prawdy, rzeczy tak rzadkiej w Niemczech kaiserowskich. Wkrótce, po pierwszej wojnie światowej, już za Republiki Weimarskiej, ukazuje się książka Ludwiga „Wilhelm II”. Książka ta była bezlitosnym aktem oskarżenia przeciw zbiegłemu cesarzowi, jego kłicie, przeciw militarystom niemieckim, junkrom i wszystkim, co ich otaczało. Napisana z ogromnym talentem, nie tylko dała Ludwigo wi światową sławę, lecz ponadto ściągnęła na jego głowę nienawiść wszystkiego, co w Niemczech było reakcyjnego i nacjonalistycznego. Wydanie tej książki w Niemczech przez obywatela niemieckiego, było aktem nie byle jakiej odwagi. Udało mu się wprawdzie uratować głowę, ale pozostał wrogiem nr 1, naprzód Niemiec Hugenerga i „Stalowego Hełmu”, później zaś — w jeszcze większym stopniu — III Rzeszy. Już w roku 1930 partia narodowo-socjalistyczna ogłasza książkę pt.: „Sprawa Emila Ludwiga”.

Wkrótce Ludwig musi opuścić Niemcy, życie jego jest zbyt zagrożone. Uduje się do Szwajcarii i przyjmuje obywatelstwo szwajcarskie. Już poza granicami ojczystego kraju, wydaje następną głośną książkę, „Lipiec 1914”. W książce tej odsłania niemieckie machinacje, które poprzedziły wybuch pierwszej wojny światowej. W Szwajcarii Ludwig przebywa do wojny obecnej. W pierwszym jej okresie przenosi się do Stanów Zjednoczonych i tam nadal walczy przeciw niemieckiemu imperializmowi i nacjonalizmowi. Tam też ostatnio wydał swą najnowszą książkę, „Jak traktować Niemców”.

Nowa książka Ludwiga zawiera wnikliwą analizę charakteru Niemców, jako zbiorowości. Cel napisania książki ujawnia nam sam autor. Chodzi mu o to, by wobec coraz bardziej niepokojącej ewolucji części opinii anglo-saskiej w stosunku do Niemiec, rozwiać jej złudzenia na temat tzw. „dobrych Niemiec”. Ludwig stwierdza, że w opinii brytyjskiej, a głównie Stanów Zjednoczonych wciąż pokutują idee o Niemcach, groźne dla przyszłego pokoju. „Biorąc ogólnie”, pisze on, „narody anglo-saskie zdają się wierzyć, że traktat wersalski był traktatem niewolnictwa i że stał się pośrednim powodem zjawienia się Hitlera. Pogląd tego rodzaju utrwalił się dzięki doskonałej propagandzie niemieckiej. W rzeczywistości jednak warunki pokoju wersalskiego stanowiły dla Niemców raczej przyjemną niespodziankę i przypisywanie temu traktatowi narodzin ruchu hitlerowskiego jest szukaniem stanowczo zbyt daleko... Istotnym i podstawowym błędem Wersalu była niezajomość psychiki niemieckiej. Alianci przypuszczali, że bez uprzedniego wychowania i bez tradycji Niemcy potrafią, z dnia na dzień, stać się liberalni i że zdolają utworzyć demokratyczne państwo”.

Ludwig rozwiewa te złudzenia. Jego sąd o Republice Weimarskiej jest bezlitosny, lecz sprawiedliwy. „Stronictwa robotnicze”, pisze, „które w sumie, były jednak zwycięzcą dnia, oddały się po prostu w ręce zwyciężonych generałów. Republika pozostawiła większości dawnych oficerów reakcyjnych i przede wszystkim szlachcie ich dawne stanowiska. „W rezultacie”, pisze dalej Ludwig, „Republika Weimarska umarła nie w Wersalu, ale tylko i wyłącznie w Berlinie i nie wskutek gwałtu dyktatora, lecz w duszy samego narodu niemieckiego, który nie zdołał zrozumieć znaczenia słowa „demokracja”. Ani jeden robotnik niemiecki nie oddał życia za Republikę, gdy w r. 1932 von Papen postanowił rozwiązać rząd pruski. Raz jeszcze ich zmysł pokory okazał się silniejszy, niż ich miłość wolności”.

Ludwig zdaje sobie sprawę, że poważne odłamy społeczeństw anglo-saskich gorąco pragną uwierzyć w niewinność „biednego narodu niemieckiego” i zrzucać całkowitą odpowiedzialność za wojnę

obecną na Hitlera i jego klikę. Koła te twierdzą, że nie podobna „utożsamiać narodu tego, który wydał największych geniuszów ludzkości, z bandą awanturników i kryminalistów, którzy opanowali władzę nad nim i tyraniują w pierwszym rządzie samych Niemców”. Ludwig zwalcza tę opinię stwierdzając, że Hitler — to Niemcy.

„Hitler”, pisze on, „jest moralnie i legalnie reprezentantem narodu niemieckiego. Został on wybrany w sposób jak najbardziej demokratyczny. Obejmując władzę w r. 1933, Hitler miał co najmniej tyleż praw do kanclerstwa Rzeszy, co jakikolwiek prezydent Stanów Zjednoczonych do Białego Domu w Waszyngtonie. Podczas ostatnich swobodnych wyborów niemieckich w 1932 r., gdy tajne głosowanie było jeszcze w mocy, naród niemiecki, ze swej własnej woli, oddał władzę w ręce partii hitlerowskiej. Hitler został wybrany, jako przywódca najsilniejszego stonniactwa... Hitler był więc wybrańcem narodu. Żaden kandydat przed nim nie ogłosił tak otwarcie swego programu. Wyborcy nie mogli więc tłumaczyć się, że nie znali metod, lub projektów Hitlera”.

„Podczas owych dni 1933 roku”, zapytuje Ludwig, „gdzie były Niemcy Goethego? W maju nasze zakazane książki zostały spalone na placu publicznym. Któż brał udział w tych manifestacjach? Oczywiście, SS-owcy... Ale prócz nich, tysiące studentów, którzy wczoraj jeszcze pożerali chciwie te same książki, rzucali je teraz na stos, krzycząc radośnie dokoła tego „autodafe”. Zapewne, były wyjątki w narodzie, takie chociażby, jak pastor Niemoeller, gorliwy antyhitlerowiec uwięziony później przez Hitlera. Ale nawet taki człowiek, jak on, oświadczył przed samym swym aresztowaniem pewnemu Amerykaninowi: „Jeśli będzie wojna przeciw Francji, wezmę w niej na pewno udział”... Barbarzyńskie czyny, dokonane przez hitlerowców, nie były, oczywiście aprobowane przez cały naród. Znalazło się parę milionów Niemców, których to widowisko napętniło obrzydzeniem. Milczeli oni jednak. Któż odważył się przeciwstawić hitlerystom?”

„Tygodnik niemiecki „Berliner Illustrierte Zeitung”, pisze Ludwig, „ogłosił raz pewnego wymowną fotografię: widać na niej ośmiu Żydów polskich, zaprzęgniętych do wozu. Na wozie żołnierze niemieccy bawią się znakomicie tym szczególnym zaprzęgiem. Ci nieznanymi i anonimowi żołnierze pochodzą z ludu; to nie są członkowie partii. Masakry i okrucieństwa, których dopuścili się Niemcy, nie są wcale dziełem grupy wybranych katów; zostały one dokonane przez anonimowych żołnierzy, reprezentujących przeciętny typ Niemca”.

Ludwig ostrzega społeczeństwa anglosaskie przed emigrantami niemieckimi, przed owymi „dobrymi Niemcami, rzekomymi „demokratami” i „liberałami”, którzy, wypędzeni z własnego kraju, schronili się za granicę i już dziś zgłaszają gotowość wzięcia w swe ręce rządów powojennych, „demokratycznych” Niemiec. „Między emigrantami niemieckimi” pisze, „są i ludzie szczerzy. Ale są też i inni, którzy, korzystając z gwarancji swych dobrze znanych nazwisk, chcą przekonać świat o możliwości stworzenia nowych, liberalnych Niemiec. Znajdują się między nimi nawet autorzy książki militarystycznych, opublikowanych w czasie ostatniej wojny, i inni, tacy, którzy przygotowywali obecną wojnę odwetową przeciw Francji pod płaszczykiem „zblżenia”. Inna jeszcze kategoria emigrantów pragnie po prostu odzyskać swe dobra i stanowiska, lub też szuka posad w nowym rządzie. Są wreszcie tacy, którzy brali udział w rządach republikańskich, lecz nie spełnili swego obowiązku, gdyż nie zamknęli drogi faszystowskiemu”.

„Obecnie”, stwierdza Ludwig, „ci kandydaci do odnowienia Niemiec twierdzą, że padli po prostu ofiarą awanturnika, który zjawił się przypadkowo, zatriumfował z powodu bezrobocia i przewrócił do góry nogami spokojny naród niemiecki. Pewien eksminister pracy Republiki Weimarskiej miał odwagę oświadczyć, że przeciętny młody Niemiec jest tyleż wart, co Amerykanin, i oświadczył to w tym momencie, gdy tysiące młodych Amerykanów giną tylko dlatego, że naród niemiecki pragnął odwetu. Wydawca ukazującego się w Nowym Jorku socjalistycznego tygodnika niemieckiego w specjalnym artykule przywitał entuzjastycznie przybycie niemieckich jeńców wojennych do Stanów Zjednoczonych. Inni niemieccy przywódcy robotniczy zapewniali na publicznych zgromadzeniach, że są zdolni wziąć w ręce ster rządów Niemiec. Nie zdają oni sobie wcale sprawy, że w ogóle nie istnieją”.

„Żaden emigrant niemiecki”, stwierdza Ludwig, „nigdy nie będzie mógł zostać wodzem swego kraju. Niektórzy z nich są dawnymi militarystami. Kanclerz Brüning np., który jest na pewno bezwzględnie uczciwym człowiekiem, głośno wyrażał swój głęboki podziw dla militarystom pruskiemu”.

Omawiając przyczyny wojny obecnej i zagadnienie powojennej struktury Niemiec, Ludwig rozwiewa szeroko rozpowszechnioną legendę o „krzywdzie”, wyrządzonej jakoby Niemcom przez tzw. Korytarz polski. „Sprawa korytarza polskiego”, pisze on, „była dla przeciętnego Niemca z ludu rzeczą zupełnie obojętną. Sam urodziłem się w pobliżu granicy

niemiecko-polskiej i wiem, jak bardzo te strony Rzeszy były niepopularne wśród Niemców; więcej, były one właściwie nieznane. Pomimo to „odwetowcy” rozpowszechnili po całym świecie argument, nacechowany wybitną złą wolą: twierdzili oni, że traktat wersalski, ustanawiając korytarz polski, przeciął Niemcy na dwoje. Tymczasem jest rzeczą oczywistą, że ów korytarz nie był bardziej szkodliwy dla Niemiec, niż np. stokroć rozleglejsza Kolumbia Brytyjska — dla Stanów Zjednoczonych, które oddziela od Alaski. Korytarz ten stanowił jednak pewnego rodzaju hamulec dla junkrów, których olbrzymie posiadłości położone są w tej właśnie okolicy, toteż uważali oni za stosowne rozpętać gwałtowną polemikę dokoła tej sprawy”.

Ludwig widzi sposób usunięcia tzw. korytarza polskiego, ale tylko przez włączenie Prus Wschodnich do Polski. „Niemcy”, pisze, „zachowałyby wszystkie swe ziemie, jakie były w ich posiadaniu w latach 1919—1935, z wyjątkiem Prus Wschodnich, które stanowią będą część Polski”.

Ludwig nawołuje społeczeństwa anglosaskie, by nie powtarzały tragicznego błędu z 1918 roku. „Najgłupszy ze wszystkich projektów odnośnie przyszłości Niemiec”, pisze on, „jest dziś nader popularny: „Powiedźcie Niemcom, że mamy do nich zaufanie i że jeśli tylko wypędzą swych obecnych przywódców, będą wolni i niepodlegli. Niech więc zrobą rewolucję, niech powitają nas jako zbawców, a wszyscy wspólnie będziemy się radować”... Czy przypominamy sobie następstwa propozycji Wilsona? Żądał on od Niemców, by wypędzili cesarza, jeśli chcą zdobyć wolność. Cesarz uciekł; generałowie wyparli się wszelkiej odpowiedzialności i pozostawili biednym socjalistom i liberałom haniebny obowiązek podpisania kapitulacji. W dziesięć miesięcy później klika zwyciężonych militarystów była już na tyle silną, że mogła mordować kierowników nowej republiki”.

„Po zniknięciu Hitlera”, kontynuuje Ludwig, „junkrzy pójdą na wszelkie konieczne ustępstwa. By umyć ręce od odpowiedzialności i dowieść swej rzekomej odrady do hitleryzmu, posuną się nawet do powoływania się na pamięć pastora Niemoellera. Opierając się na tym jedynym przykładzie buntu, proklamować będą rzekomą niewinność reszty narodu... Współczujący Alianci mogą powiedzieć sobie wówczas: „Zróbmy pokój, skończmy już raz... Przecież, ostatecznie, ci generałowie, to dzielnicy ludzie”... Nieprawda. Nie są oni wcale lepsi od Hitlera. Mają może ładniejsze maniery, niż partia, lecz są tak samo winni, jak ona. Bez pruskiego sztabu głównego Hitler nie byłby mógł rozpocząć wojny. Dopóki oni będą istnieć, młodzi Niemcy nie przestaną marzyć o odwecie”.

W książce swej Ludwig usiłuje zapoznać opinię anglo-saską z prawdziwym, nie idealizowanym obrazem Niemca i Prusaka. Poświęca temu zagadnieniu dwa kapitalne rozdziały: „Niemiec” i „Prusak”, pełne wnikliwych, słusznych i ciekawych spostrzeżeń i wniosków. Trzonem wywodów Ludwiga jest: 1) że najważniejszym ośrodkiem zarazki chorobowego w Niemczech są Prusy i że ośrodek ten musi być zniszczony i 2) że Niemcy nie potrafią chwilowo rządzić się same, albowiem w duszy narodu niemieckiego nie ma zrozumienia dla pojęć demokracji i prawdziwej wolności.

Co uczynić z Niemcami po wojnie? Ludwig nie jest za rozbiciem ich na szereg drobnych państw. „Trzebaby podzielić Niemcy”, pisze, „nie na trzydzieści, lecz na dwie części. Prowincje na wschód od Łaby, połączone z Saksonią, która jest dziś pruską, utworzyłyby republikę „pruską”, która posiadałaby ludność 15 do 19-milionową. W ten sposób pruski sztab główny nie będzie już mógł mobilizować całych Niemiec, jak to czynił dotychczas... Po wyeliminowaniu Prus, reszta kraju stworzyłaby federację, liczącą 55 milionów ludności”. To wszystko jednak, podług Ludwiga, musiałoby być poprzedzone przez długotrwałą okupację wojskową Niemiec i gruntowną reedukację narodu niemieckiego.

Książka Emila Ludwiga jest dokumentem tak cennym i ważkim, że powinna znaleźć się w rękach milionów czytelników Narodów Zjednoczonych.

ROMAN FAJANS

\*) Emil Ludwig — „Comment traître les Allemands” — New York, 1944.

TADEUSZ WITTLIN

## Wszyscy nas kochają...

Wszyscy nas ogromnie kochają.

Arabowie wołają: „Boliń dobra”, Szkotki spontanicznie wychodzą z zamąż za Polaków i rodzą dzieci w polsko-szkocką kratkę, Węgrzy wydawali polską gazetę, w armii amerykańskiej, gdzie spojrzeć tam Polak, młode Włoszki wstępują gremialnie do P. S. K., jeńcy-Niemcy podają się za Ślązaków, wśród Wolnych Francuzów jest moc Polaków z Legii Cudzoziemskiej i cała Palestyna gada po polsku. W Anglii chwala eskadrę Kościuszki, w Sowietach chwalą dywizję Kościuszki, książd Orlemański, „dla dobra Polski”, zwiędza muzeum bezboźnictwa, a na Polski Czerwony Krzyż w Egipcie tańcuje primabalerina opery moskiewskiej.

Na falach eteru krzyk i hałas o nas nie mniejszy. Radiostacja Wandy z Berlina i Wanda radiostacji z Moskwy. W ogóle do Wand mamy wyjątkowe szczęście i specjalny sentyment. Najpierw śpiewaliśmy o Wandzie, co nie chciała Niemca, jako że zawsze lepiej mieć swojego, niżli cudzoziemca. Później ulice rozbrzmiewały zachrypniętymi głosami gramofonów i podwórzowych piosenkarzy, wyspiewujących:

„Wando, kocham cię nad życie, jedź ze mną w świat,  
Nie patcz! Podaj usta malowaaaneee...”

Tymczasem dziś wszystko się odmieniło. Jedna Wanda nagle zechciała Niemca. Co prawda, urodziła się nie nad Wisłą, lecz nad Sprewą, ale za to wzywa kochanych, polskich żołnierzyków, by na froncie włoskim przestali zabijać szwabów, którzy przecież całym sercem ich ubóstwiają i w trosce o dobro ich rodzin, wysyłają je na roboty do Niemiec. Druga Wanda pojechała w świat, skąd podaje usta malowane na czerwono, piejąc peany na cześć Polonii radzieckiej i Związku Polskich Patriotów. I tak się te dwie Wandy wzajemnie licytują, pragnąc skokietować polskiego żołnierza i za każdą cenę wciągnąć go na swoją ciemną ulicę. Wanda z Berlina przyrzeka szybki powrót do domu i do wsi rodzinnej, nie wspominając, że dom zburzony, a wieś wyludniona. Druga Wanda nie przestaje obiecywać oswobodzenia, zapominając o tym, jak to już raz oswobodzano nieletnie dzieci od matek, mężów od żon, a całe rodziny od ojczyzny kraju. Tamten Wanda-lizm jakoś nie liczy się. Natomiast wszystko, co się teraz dla nas robi, to z najczystszej miłości.

Niestety jednak żołnierz polski jest jakoś dziwnie głuchy na te wszelkie dobrodziejstwa. Widać huk bojowy i to jeszcze z Września, tak go ogłuszył. I dopóki ma karabin, zna tylko jeden cel: cel — pał!

# Atlantyda

FRAGMENT

Juliusz Mieroszewski

Moja znajomość z Naimą trwa dość długo mimo, że przedstawiłem się jej dopiero przed kilku dniami.

Naima mieszka w trzy pokojowym mieszkaniu, oddzielonym ścianą od mojego pokoju. Ściana jest cienka jak we wszystkich kairskich, czynszowych kamienicach.

Mój pokój jest całą. Gdy zamykam za sobą drzwi i przekręcam klucz w zamku — mam wrażenie, że ów świat wokół mnie logicznie i konsekwentnie pozbywa się intruza, zmuszając go do izolacji. W rzeczywistości jest to tylko wymowa kontrastu, pokój mój jest bowiem rekonstrukcją świata z innego kontynentu.

Uświadamiałem sobie to powoli. W pierwszych dwóch latach tęskniłem za Krajem — to jest za Podhalem i za Krakowem. Tęskniłem naiwnie, boleśnie, nawrotami, jak tęskni się za matką, za kimś najbliższym. Jeszcze kręciło się w głowie od karuzeli wypadków, ruch tematyczny czasu i przestrzeni wziętą uwagę. Osąd o rzeczach deformował pośpiech, intensywność, egzotyka krajów, pustyni i miast i ów patos, który kładł się na naszym życiu — życiu anonimowych statystów „war pictorial news”.

I nagle któregoś dnia zamieszkałem samotnie w pokoju. Wypadłem z tej wielkiej elipsy, po której obwodzie biegła równoległa dyscyplina i chaos. Zamknąłem za sobą drzwi i zdałem sobie jasno sprawę, że to oznacza powrót. Byłem sam od lat pięciu po raz pierwszy.

Wieczorem zamykam drzwi, okna i okiennice i czytam. Z mieszkania za ścianą płynie gardłowy, zduszony śpiew arabski. Na dole o piętro niżej jest klub, a na dole kawiarnia. Aż tu dobiega suchy stuk kostek do gry, krzyki, śmiechy grających. W bramie zawodzi żebraczka z małym, brudnym dzieckiem. Odchodzi stąd dopiero o 10-tej.

Noc hamsinowa krztusząca się pyłem pustyni, szamoce się chorobliwie w strzępach rdzawych obłoków.

I tak stałem się „nacionalistą” Europy. Zacząłem tęsknić za kontynentem, którego częścią była Polska, za światem, który się zapadł w morze we wrześniu 1939 roku.

Tej hamsinowej nocy poznałem się z Naimą. Pisałem list do domu. Z kawiarni dochodził mdlejący w gardlanym forte głos arabskiego śpiewaka. Stukot kości do gry i chrapliwe namiętne okrzyki mieszały się z pogwarem ruchu ulicznego. Nagle, poprzez ten pejzaż arabski, który oblega mój pokój — uderzył Szopen. Ktoś za ścianą kaleczył preludium deszczowe. Szopen w panoptikum, w jarmarczonym gabinecie figur woskowych, rwane barbarzyńsko akordy, krzywione pasaże. Pierwszym odruchem zerwałem się z krzesła i zacząłem bić pięścią w ścianę. Biłem tak długo, póki nie przestano grać.

Po chwili zapukał ktoś do drzwi. To była Naima.

Patrzyła we mnie z zaciekawieniem, a w kącikach jej ust drgał hamowany śmiech.

— To pan pukał? — spytała po angielsku.

— Ja.

— ?

— Nie mogę znieść tak granego Szopena.

Roześmiała się sztucznie.

— Pan jest muzykiem?

— Nie.

Sięgnąłem po papierosy leżące na stole obok maszyny do pisania.

— Pani pali?

Rękę wyciągniętą pierwszym odruchem cofnęła gwałtownie i bez słowa wyszła z pokoju.

Przekręciłem klucz w zamku. Angielszczyzna nie zawsze wystarcza, żeby się porozumieć.

## II.

John W. Morgan jest sierżantem, technikiem armii amerykańskiej. Raz na 10 dni przyjeżdża ze swej bazy do Kairu i wówczas odnajduje na dobę pokój od

Naimy. Przed kilku dniami byliśmy w trójkę w kinie. Wyświetlano amerykański obraz pod tytułem „Human Comedy”. Po seansie, John, którego naciągamy z racji jego milionerskiego nazwiska — zaprosił nas do kawiarni na tarasie Opery.

Siedzieliśmy, sącąc przez słomki skomplikowane „Ice and Soda”, a Morgan w przerwach ośniewał Naimę Ameryką. Rozmowa toczyła się o filmie, o pancernikach, o tysiącach bombowców. Naima dzieliła równomiernie swój zachwyt w połowie dla Ameryki, w połowie dla lodów. Jej czarne oczy błyszczały tak skrzęco i sugestywnie, że pomyślałem, iż efekciarskie określenie Farrera o „aksamitnych płomieniach” w odniesieniu do tych oczu nie byłoby przesadne.

— Wiesz — mówił John — u mnie w Detroit robię sobie takie lody sam w domu. Tak! Śmietana, sok, rum, krządek ananasa i wychodząc rano do fabryki wstawiam wszystko do lodówki. W południe są gotowe. Po obiedzie zapalam cygaro, lody do szklanki i dużo, dużo sody! Ach, to jest cywilizacja!

— I see... — westchnęła Naima.

Amerikanin i Arabka poszli na dancing do Badii. Patrzyłem w ciemnogrnatowy prostokąt placu Opery, który pustoszał i gasł. Pomyślałem, że ta para właściwie żywcem zeszała z ekranu, że to ich epopeją jest owa „Human Comedy”.

Morgan był oburzony. W kinie szturchnął mnie kilka razy, a gdy wyszliśmy nazwał mnie cynikiem i dekadentem. Ten ostatni epitet wypowiedział dość niepewnie i spojrzął na Naimę, jakby ciekaw był, czy ona wogóle zrozumie o czym jest mowa.

Zabawne. Tych dwoje daleko łatwiej porozumiewa się między sobą, niż którekolwiek z nich ze mną. A przecież Morgan jest białym, ja jestem białym, a Naima jest Arabką. Kolor skóry nic nie znaczy. Ważnym jest kontynent, z którego się pochodzi. Moje „wczoraj” oddziela mnie murem od Naimy i Morgana.

„Human Comedy” zaczyna się naiwną, bombastyczną sceną. Zza chmur — po prostu z nieba, przemawia do Bogu ducha winnych słuchaczy, ojciec bohatera filmu, który — jak dowiadujemy się z napisu — zmarł przed wielu laty. Mówi jak przystało na nieboszczyka z dobrej rodziny — wzniośle, patetycznie i bardzo nudno.

Obraz ten jest jednak interesującym, stanowi bowiem nieśmiałą próbę uchwycenia momentów krystalizacji nacjonalizmu amerykańskiego. Trudno jest mówić o narodzie, gdy wszystko zaczęło się wczoraj. Gdy przedwczoraj Mister X był jeszcze Czechem, Mister XZ Holendrem, Mister Y Finem. Ale ziemia była niczyja, nikt z nią nie był związany tradycją, chyba cofający się w mił i rezerwat — czerwonoskóry. I dzięki temu Czech, Holender i Fin, Hiszpan, Chińczyk czy Włoch — każdy w Ameryce może czuć się u siebie w domu i zadzierzgnąć z nowym łądem ów tajemny węzeł i ziemię przemienić w ojczyznę.

Jest mała wioska, która się zwie Itaki. (Pamiętajcie, że do Itaki dwadzieścia lat powracał Odysseusz). W tej amerykańskiej Itace mieszka rodzina Maculey'ów, której męscy członkowie noszą klasyczne imiona: Homer, Ulisses, Marcus. Ojciec zmarł i od czasu do czasu przemawia z

nieba. Homer jest gościem na miejscowej poczcie, a Marcus jest w wojsku. W domu panuje skoncentrowana chemicznie „słodycz rodzinna” w połączeniu z protestancką wzniosłością. Wieczorami rodzina grywa melancholijne pieśni, przy czym matka na harfie, córki na fortepianie i na skrzypcach. Karmelkowa słodycz tego wnętrza, pozłocista harfa (dziwnie anielski rekwiwit!) powłóczyłszy szaty córek i niebiańskie uśmiechy matki, której co wieczór objawia się ojciec-nieboszczyk, założyciel tego zacnego grona — wszystko to razem może przypisać o młodości nawet najbardziej zagorzałego fanatyka życia rodzinnego.

Marcus ma przyjaciela, człowieka bez „Itaki”, bez rodziny — samotnego trampa. Służą obaj w jednym oddziale. Marcus otrzymuje z Itaki listy, fotografie, przesyłki. Tramp jest samotny i żyje życiem swojego przyjaciela. Kompania wyrusza na Pacyfik — na front. Dobrze chwycony jest nastrój wagonu, pełnego młodych chłopców, którzy jadą ku wojennej przygodzie. Ktoś śpiewa, inny gra na harmonii — poprzez jaskrawy, żołnierski „fason” prześwieca ludzki liryzm niepowrotu. Śmiech jest bardzo głośny i gaśnie nagle, krótkie, wstydlive zadumy, znów śmiech, fotografie oglądane ukradkiem, a nad wszystkim cień szefa sierżanta symbolu słowa „duty”.

Marcus odsłania przed swym przyjacielem Itakę. Młody tramp i włóczyki zrozumieli nagle, że na wojnę jedzie się po to, aby... powrócić. Trzeba mieć jednak dokąd powrócić. Któregoś dnia Marcus ofiaruje mu fotografię swej siostry. I tak oto bezdomny zaczyna marzyć o domu i o dziewczynie, którą zna tylko z fotografii. Marzy o tej dalekiej Itace, słucha opowiadań i zwierzeń i wojna nabiera dla niego innego sensu — jedzie walczyć o dom.

Zakończenie jest niespodziewane. Któregoś dnia Homer, który pracuje na poczcie, odbiera depeszę, że jego brat Marcus zginął w akcji. Reżyseria tej sceny jest jaskrawa i fałszywa. Homer z tragiczną depeszą idzie do domu. Jest wieczór jesienny. Ferma Maculey'ów wygląda jak przystań ciszy i szczęścia wśród starych drzew daleko za miastem. W bramie ogrodu Homer spotyka obcego żołnierza, wspartego na lasce. Jest to ów tramp, przyjaciel Marcusa. Następuje scena godna najlepszych francuskich realizatorów. Tramp przemawia do zdumionego chłopca po imieniu, wypytuje o brata, matkę i siostry, pyta o zdrowie starego pocztmistrza, zna nazwy ulic, rozkład mieszkania i najintymniejsze szczegóły Itaki. A przecież Homer wie, że ów obcy przybysz nie był tu nigdy.

Problem jest ostro skonstruowany. Homer ma w kieszeni depeszę o śmierci brata, a przed nim stoi ktoś, kto ze zgruchotaną nogą wraca do tej Itaki, do wysnionego domu, który pokochał, za którym tęsknił. Ów tramp jest jakby ucieleśnieniem tęsknot Marcusa, który jednak nie wrócił. Homer wydobywa z kieszeni depeszę, drze ją w strzępy i ujmuje pod ramię przybysza. Wchodzi na taras. Homer otwiera szeroko drzwi od domu i woła wzruszonym głosem: „Żołnierz z wojny powraca do domu!”

Tak oto krystalizuje się naród. Na osi od indywidualnego do zbiorowości. Marcus nie wrócił. Nie jeden Marcus, John, Ja-

cob nie wrócił — ale żołnierz amerykański wrócił do swej Itaki. A chodzi o żołnierza, o obywatela, o masę, o miliony, a nie indywidualnie, nie o Marca, czy Johna.

To jest w całym obrazie jedyna ciekawa scena. Zakończenie odbywa się znów przy udziale duchów poległego Marcusa i jego ojca, który materializuje się z wielkim zamiłowaniem przy każdej okazji. Nastrój taniego kiczu gasi wrażenie sceny poprzedniej.

To właściwie nawet nie kicz, a psychologiczna egzotyka. Mam uraz na punkcie wszelkiej egzotyki. Podobnych filmów amerykańskich oglądałem już dziesiątki. Dziś widzę te sprawy inaczej. Widzę, że świat białego człowieka jest czymś bardzo niejednorodnym — Ameryka bywa równie egzotyczna, jak Egipt i równie obco nie-europejska.

Morgana irytują takie rozmowy. Ach, jaką on ma nieświadomą niechęć do Europy. Polskę należy przenieść do Kanady — to jest jeden z jego wielu fantastycznych pomysłów. W gruncie rzeczy kocha się swoją pracę — mówi z przekonaniem. Gdybyś 15 lat pracował na własnej fermie w Kanadzie, ta ziemia byłaby ci droższa nad wszystko inne. Nie odpowiadam. Cóż jemu tłumaczyć, że ojczyzna, to kraj, kontynent i wieki, wieki przeszłości. Mówić mu, że moją jest Rewolucja Francuska i Goethe, włoski renesans i północny gotyk, Warszawa i Paryż, Ateny i Rzym. Że to wszystko w swojej najgłębszej treści jest dla mnie Polską, dla Francuza — Francją, dla Włocha — Italią, a dla nas wszystkich Europą.

## III.

Naima nigdy nie była w Luxorze, ani w Dolinie Królów. Wielka staro egipska kultura ekshumowana z piasków pustyni sterczy jak bezużyteczny wrak wyrzucony na brzeg. Gdyby olbrzymi meteor spadł koło Asuanu i ściągał turystów — miałby tyleż samo wspólnego z Egipcem, co tajemnicza głowa Nefretete.

Wracam pustyni ulicami i myślę, czy po tej wojnie Europa nie stanie się Egiptem. Idzie ku nam step azjatycki. Czyżby ostać się miały tylko kamienie? Może koło Luwru, Łazienek czy murów wawelskiej katedry iść będą obojętni ludzie, tak obojętni jak Arab, który na swym wielbłądzie mija obcy i głuchy Hipostyl w Karnaku. A my — czyż mamy być emigracją na własnym kontynencie — ludźmi, których czas umarł przed nimi?

Europa jest węzłem gordyjskim świata. Nuży i nęka ludzkość wagą i różnorodnością swych zagadnień. Ale to jest miarą jej wielkości. Myślę czasem, że wojna ta wzbudzi „izolacjonizm” europejski, myślę, że Europejczycy zrozumieją wreszcie jak mocną jest więź, która ich łączy. Po zlikwidowaniu zamachu Hitlera na Europę, wzmoże się solidaryzm kontynentalny. Jeszcze nam daleko do tego, abyśmy czuli się tak kontynentalnie Europejczykami, jak Amerykanie są Amerykanami. Nacjonalizm amerykański dopiero powstaje — ojczyzna rodzi się. Amerykańskie poczucie kontynentalne jest natomiast bardzo silne. W Europie nacjonalizmy są zróżniczkowane i silne — poczucie kontynentalne niemal żadne. Tylko wzrost poczucia wspólnoty kontynentalnej utworować może drogę dla federacyjnych koncepcji i odrodzić Europę.

Morgan uśmiecha się złośliwie, gdy powracam do tego tematu. „Dekadencie... idzie rewolucja!” — Głupi slogan — jakże przez wielu dziś powtarzany. Barbarzyńcy jeszcze nigdy i nigdzie nie robili rewolucji. Barbarzyńcy zniszczyli Rzym i jego świat. Rewolucję? Rewolucję Francuską przygotowywali encyklopedyści — obecną „rewolucję” angielską robią Russel, Huxley, Beveridge i ludzie ich formatu.

Leć coś mówić z Johnem z amerykańskiej Itaki? Jak mówić z Naimą o deszczowym preludium szopenowskim, o jego subtelnej skanzji, kiedy ona nigdy nie widziała, nigdy nie słyszała deszczu...



„Żywa torpeda” w akcji

# Ż Y W A T O R P E D A

Żywa torpeda, jest to podwodny pocisk, kierowany przez znajdującą się na nim załogę, złożoną z dwóch, specjalnie wyszkolonych marynarzy.

Pocisk taki wyglądem swym przypo-

mina małych rozmiarów łódź podwodną, z tą jedynie różnicą, że na górnej części swej powierzchni posiada trzy garby, tworzące dwa wklęsłe siedła.

Jeden z członków załogi, który siedzi

w pierwszym siedle, kieruje torpedą przy pomocy steru, zaopatrzonego w głębościomierz. Tymże sterem marynarz w decydującej chwili odłącza umocowany pocisk. Gdy torpeda zostaje odcze-

piona, marynarz siedzący w drugim siedle, zsuwa się ze swego miejsca i przymocowuje zwolniony pocisk do spodu nieprzyjacielskiego okrętu. Pośpiech przy wykonywaniu tej czynności nie jest specjalnie wymagany, gdyż pocisk przeznaczony jest dla okrętów, zakotwiczonych w porcie.

Strój marynarzy, obsługujących „żywą torpedę”, składa się z kombinezonu oraz szklanego skafandra. Całość waży około czterdziestu funtów.

Na pustynnym wybrzeżu jednej z północnych zatok Anglii, wśród urwistych skał, znajduje się obóz ćwiczebny ludzi-torped. Tutaj właśnie szkolili się w tej najnowszej broni morskiej marynarze, którzy storpedowali słynny pancernik niemiecki Tirpitz.



Strój człowieka-torpedy

Str. 2: fot. U. S. Office of War Information

Str. 3, 4, 5, 6 i 7: fot. APW

Str. 7: fot. ks. A. Wycisło

Str. 8 i 9: fot. inż. W. Ostrowski

Str. 11: fot. W. Domański

Str. 14 i 15: fot. U. S. Office of War Information

Str. 16: fot. U. S. Office of War Information

Układ graficzny:

JERZY MŁODNICKI

# POLKI W LOTNICTWIE



W wyniku działań wojennych znalazło się na terenie Anglii bardzo mało polskiej ludności cywilnej, więc i kobiet. Stąd też i ochotniczek naszych nie było tam wiele. Dopiero z Armii Polskiej na Wschodzie przybyły do Anglii większe ilości „pestek”, a ostatnio i w Afryce Wschodniej zgłosiło się do P. S. K. kilkaset ochotniczek. Ogromną większość z transportów, przybyłych do Anglii, zakwalifikowano do WAAF—pomocniczej służby lotniczej. Po przybyciu na wyspę nasze „pestki” przede wszystkim oddały ekwipunek tropikalny i zafasowały rzeczy, odpowiednie dla klimatu angielskiego, i niebieski mundur lotniczy. Potem zaczęło się szkolenie: więc musztra angielska z wypisywanymi na tablicy rozkazami, więc i szczegółowe kursy, po ukończeniu których ochotniczki otrzymują przydziały w polskich eskadrach RAF-u jako telefonistki, radiotelegrafistki, mechaniczki, w obsłudze meteorologicznej, w świetlicach, kantynach i kuchniach. Zakres pracy ochotniczek polskich powiększa się, a stanie się jeszcze większy po ukończeniu wojny, w Kraju.





Koniec brunatnej epopei...